# ŁOWIEC POLSKI



I nagroda na konkursie „Łowca P.". Kaczory. (Zdjęcie z natury). Fot. Włodz. Korsak.

*CZEŚĆ ŚW. HUBERTOWI. 3. 11. 1930.*

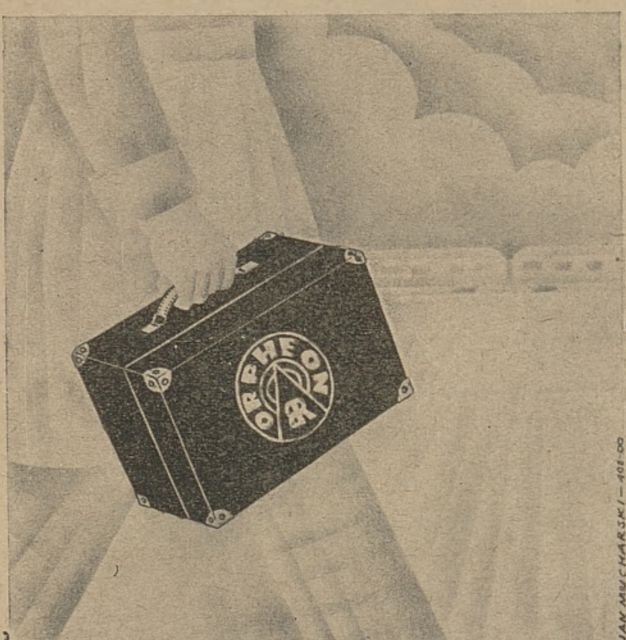
ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 44 (598). 3 LISTOPADA 1930 R.










### Na polowaniu.

— Oto już szósty zając, któregoś pan dziś spudłował.

— To nic nie znaczy. Dziś moje imieniny, chcę widzieć wokoło same wesołe twarze!





### Dzielny bryś.

Gajowi nie mogli dać rady Brysiowi, zajadłemu tępicielowi zwierzyny. Zatem pan postanowił kupić tego psa.

— Waszego mądrego psa, Bryśka, kupię chętnie i dam 100 zł. za niego.

— Nie sprzedam, jaśnie panie!

— A za 150?

— I za stopiędziesiąt nie!

— Cóż ty masz w głowie, człowieku! Umierasz z głodu i nie chcesz wziąć 150 zł. za takiego kundla! Przecież nie jesteś w stanie wyżywić tego psa!

— Ale ten pies mnie żywi, jaśnie panie!



I nagroda na konkursie „Łowca P.". Żórawie nad mszarem (zdjęcie z natury). Fot. Włodz. Korsak.

# ŚWIĘTY HUBERT.

Era naszego średniowiecza — twórcy zawodowych cechów i związków wszelkiego rodzaju — jest równocześnie erą największej, że się tak wyrażę, ingerencji władzy kościelnej we wszelkie poczynania, bądź kolektywne, bądź indywidualne. Nic nie mogło być przedsiębrane bez religijnej, częstokroć pompatycznej ceremonji, a conajmniej bez aktu poświęcenia. Na każdym kroku podkreślał Kościół zależność człowieka i jego poczynań od Boga; nic też dziwnego, że era ta stała się erą najwyższego kultu patronów i niebieskich rzeczników. Każdy zawód, każdy stan, każdy kraj nawet, obierał sobie opiekuna. Świętym oddawano wreszcie opiekę nad zwierzętami lub przeciwdziałanie chorobom. Tak patronem Anglji stał się św. Jerzy; Hiszpanji św. Jakub; malarzy św. Łukasz; cieśli św. Józef i t. p. Od powietrza chronił św. Roch i Sebastjan, od chorób ocznych św. Otylja, Klara i Łucja, gęśmi opiekował się św. Gaweł, owcami św. Wandalin i t. d.

Zaś cech łowiecki za patrona obrał sobie św. Huberta, zwanego także Hugbertem, a piastującego godność biskupa od roku 709 w Maastricht (prowincja Limburg — w południowej Holandji). Szczegóły tyczące się pochodzenia i życia św. Huberta, noszą cechę wybitnie legendarną. Ojcem jego podobno był wojewoda akwitański, Bertrand, spokrewniony z Pipinem Heristalem. Z domu wyniósł młody Hugbert wychowanie nad miarę świeckie i światowe. W bardzo młodych latach dostał się na dwór Teodoryka III w Neustrji, gdzie wkrótce otrzymał godność falcgrabiego. Niebawem stał się głośnym w całej prowincji z namiętnego zamiłowania do łowów i szermierki. Sprzykrzywszy sobie nietaktowne postępowanie majordoma Ebroina, opuścił Hubert dwór burgundzki, zaciągając się do orszaku Pipina, gdzie wkrótce zdobywa sobie ogólną sympatję i szacunek. Tutaj też ożenił się z córką pewnego hrabiego, Floriboną, która zmarła wkrótce po wydaniu na świat syna Floriberta. Życie wiódł Hubert po dawnemu swobodne i światowe, wszystkie zaś niedziele i święta poświęcał łowieckim rozkoszom, nie licząc się z ogólnem zgorszeniem. Nagle — bez niczyjej ku temu podniety, ni zachęty — zerwał z dotychczasowem życiem; udał się do biskupa Lamberta do Maastricht i ślubował mu nieograniczone posłuszeństwo.

Tu mówi legenda, że, jak zwykle — pewnej niedzieli, w czasie nabożeństwa, wybrał się Hubert do kniei. Wtem — na pagórku — ujrzał przed sobą jelenia niosącego w wieńcu krzyż promienisty, i przy biciu dzwonów pobliskiego kościoła, usłyszał zaziemski głos: „Jeśli się nie poprawisz, piekłu oddanym będziesz"! — Do głębi duszy przejęty — zsiadł z konia, pomodlił się i powrócił do domu z mocnem postanowieniem poprawy życia.

Zrzekł się tedy wszystkich godności i urzędów, synka małego oddał pod opiekę młodszemu swemu bratu i udał się do biskupa Lamberta, który właśnie zasiadł powtórnie na tronie biskupim po siedmioletniem wygnaniu, obecnie zaś stał się mistrzem i przewodnikiem Hubertowi na nowej drodze życia, a po pew-

nem przygotowaniu, udzielił mu święceń kapłańskich, mianując równocześnie swym pomocnikiem. Pod wpływem sennego objawienia, jako dopełnienie aktu poprawy, odbył Hubert pielgrzymkę do Rzymu, gdzie go ówczesny papież, Sergiusz I, tak dalece sobie upodobał, że po śmierci Lamberta osadził go na biskupstwie Maastrichckiem. — Tyle legendy. Dalszy ciąg życia naszego patrona jest ściśle historyczny.

Nie chcąc mieć żadnych przeszkód w zarządzie djecezji, sprzedał cały, osobisty swój majątek, pieniądze zaś rozdał ubogim, chorym i sierotom. Świetny kaznodzieja — gorliwie głosił słowo Boże — ratując niejedną, zbłąkaną duszę od moralnej zatraty. Rozgłos jego kazań szeroko rozszedł się po kraju, ściągając liczne rzesze słuchaczy. W Leodium, małej naówczas mieścinie, w miejscu, gdzie poprzednik jego, biskup Lambert skrytobójczo był zamordowany, wystawił własnym kosztem kościół, który przez szereg lat stale przyozdabiał. W roku 721 przeniósł ciało Lamberta do tegoż kościoła — a stolicę biskupią z Maastrichtu do Leodium. Małe miasteczko, otoczone hutami ołowiu, miedzi i cynku, staje się zwolna ogniskiem przemysłu i rozrasta się w wielkie miasto.

Powracając z Furtu w Brabancji z uroczystości poświęcenia kościoła — zachorował biskup Hubert z przeziębienia i umarł 30 maja 727 roku. W myśl ostatniej woli — pochowany został w kaplicy św. Piotra — w kościele biskupim.

Syn jego i następca na stolicy biskupiej — Floribert — kazał w roku 744 otworzyć grób ojca — przyczem ciało znaleziono — jak mówią kroniki — bez śladów rozkładu. Za zezwoleniem i w obecności cesarza Ludwika Pobożnego, przeniósł w roku 827 biskup teoryjski, Walteand zwłoki św. Huberta do klasztoru benedyktyńskiego w Andain w Ardenach, przemianowanego później na klasztor św. Huberta. Wówczas to — za staraniem biskupa orleańskiego — Jonasza — sporządzono w języku łacińskim dokładny życiorys naszego patrona. Od XII wieku spoczywają prochy św. Huberta w srebrnej, pozłacanej skrzyni na ołtarzu w nawie kościoła św. Krzyża, w klasztorze andeńskim. W XVI wieku prochy te giną z kościoła, rzekomo ukryte przez zakonników przed najściem Hugonotów w r. 1568. Ostatnie — niestety — bezowocne poszukiwania ich odbyły się w roku 1867.

Święto naszego patrona ustanowiono na 3 listopada, na pamiątkę otwarcia grobu w tym dniu 744 r. przez Floriberta.

Już w X stuleciu obchodzili myśliwi ardeńscy uroczystość św. Huberta wielkimi łowami na jelenie. Opiece jego oddawali się po nieszczęśliwych wypadkach łowieckich, zwłaszcza po ukąszeniu przez wilka lub psa wściekłego. Ku czci świętego oddawano na klasztor pierwszą i dziesiątą sztukę upolowaną.

W XVI stuleciu istniało już 21 kościołów pod wezwaniem św. Huberta, oraz kilka zakonów rycerskich jego imienia. I tak — w Bawarji zakon św. Huberta założył Gebhard Wielki, wojewoda na Jülichu i Bergu; w Czechach — hrabia Antoni Sporch, który to zakon rozwiązał się w czasie wojny siedmioletniej.

Podobne zakony istniały również we Francji i w Anglji.

Tyle — co do historji życia św. Huberta oraz jego kultu podają obce źródła. Czy w Polsce, kraju najciekawszym może w całej Europie pod względem różnorodności i bogactwa naturalnych warunków łowiectwa — kult ten istniał i w czem się przejawiał — nie jest mi wiadome.

Może z okazji święta naszego Patrona, myśl polskiego myśliwego zwróci się pod tym kątem w przeszłość i dowiedzie, że w kulcie św. Huberta nie stoimy w tyle po za myśliwymi innych krajów Europy.

WŁ. KARNKOWSKI



I nagroda na konkursie „Łowca P.". Kaczki (białooczki) nad leśnem jeziorem. Fot. Włodz. Korsak.

# NA ŚMIERĆ JULJANA EJSMONDA.

*(Na dzień Zaduszny, Święto Zmarłych, otrzymaliśmy wiersz ten, poświęcony pamięci tragicznie zmarłego Poety-Myśliwego).*

*Druhu serdeczny, Bracie! — Czy to Ty w tej trumnie*
*odchodzisz w żalnej nucie góralskiej kapeli? —*
*Jakoś tak po królewsku i chmurnie i szumnie?*
*Czyś to Ty się tak przez śmierć ponad śnieg wybielił?*

*Tatry spłonęły złotą śreżogą słoneczną:*
*stoją jak huf rycerny w złocistych zbroicach.*
*Czyli Ciebie żegnają na drogę Twą wieczną —*
*Ciebie, Bracie serdeczny? — jako królewicza?*

*Płaczą Cię ciche bobry w poleskich żeremiach,*
*oczerety i drzewa i mszar złotoruny,*
*żeś się w sercu swem młodem zciszył, żeś oniemiał,*
*jak dąb królewski, z niebios zwalony piorunem.*

*Zew krwi już Cię nie wezwie w ostępy i knieje —*
*ku ostrowom wśród mszarów i grząskich mokradeł.*
*Śnieg tej zimy dla Ciebie na wieki zawieje*
*na ponowie trop lisi i zajęcze ślady.*

*Już Ty na wielkich wodach błękitnej Prypeci*
*furkotu skrzydeł kaczek dzikich nie usłyszysz,*
*ni gon ogarów w kniei Ciebie nie doleci*
*z dalekiej, nieobjętej, zasłuchanej ciszy.*

*Darmo mszar osrebrzony księżycową rosą*
*zabulgocze namiętnie od pieśni cietrzewiej,*
*darmo ptak jak duch, przemknie przez gwiezdne niebiosa,*
*duch bagien lubelpolskich: ptak z złota i bieli.*

*Nie staniesz już pod pieśnią królewskiego głuszca,*
*grzmiącą we mgłach przedświtu, jak dźwięk kastanietów.*
*Nie zasłucha się w Tobie, nie zaduma puszcza,*
*niby wieczność w wieczności, w zadumie poety.*

*Nie legniesz w czółnie, twarzą zwrócony ku niebu*
*patrzeć w mrok gwiazd: w mrok serca Boga i człowieka.*
*Płyniesz w trumnie jak w łodzi, w chorałach pogrzebu,*
*ale na oczach Twoich trumny czarne wieko...*

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA.





I nagroda na konkursie „Łowca P.". Lis na myszkowaniu. Fot. Włodz. Korsak.

# DONIOSŁOŚĆ PROPAGANDY ŁOWIECKIEJ.

Dzień sobotni 11 października r. b. był dniem szczęśliwym w mojem życiu łowieckiem. Nie z tej racji, bym w dniu tym miał dostąpić jakiegoś nadzwyczajnego sukcesu myśliwskiego! Boć o jakim sukcesie myśliwskim może być mowa w Wileńszczyźnie, gdzie, jak wiadomo, kozłów mamy mało, dzików tak dobrze jak nie mamy wcale, na łosie polować nie wolno, zaś wilka, rysia lub lisa szanujący się myśliwy nie strzela, albowiem w październiku „nie mają jeszcze skóry".

To też powody mojej radości tkwiły gdzieindziej. Radość moja była zapewne mniej intensywna, niż przypuśćmy — radość myśliwego po upolowaniu pierwszego w życiu rysia, lecz za to była subtelniejsza, idealniejsza, głębsza. W dniu onym nadszedł Nr. 41 „Łowca Polskiego", a w nim — artykuł p. M. Cierpińskiego polemizującego z mymi elaboratami „w sprawie pilnej i zasadniczej" *).

Skąd powód do radości?

Popierwsze stąd, że w mej pracy publicystycznej, zarówno łowieckiej, jak i niełowieckiej, prześladował mnie dotąd „pech" niezrozumienia mych myśli i intencyj przez autorów polemik i replik. To też sam fakt przeczytania polemiki nietylko bardzo rzeczowej i przemyślanej, lecz nadto tchnącej całkowitem zrozumieniem mych myśli i zamiarów, był dostatecznym powodem do radości. Po drugie — ucieszyłem się, że zaniedbana dotąd „sprawa pilna i zasadnicza" ruszyła wreszcie z miejsca!

Ciekawe, cenne i przemyślane wywody p. Cierpińskiego dadzą się streścić, jak następuje:

*) Patrz Nr. 23 i 37 „Łowca P." z r. b.

1) Autor, doceniając znaczenie prapagandy łowieckiej, uważa ją za akcję zakrojoną na długie lata, a przeto — bezużyteczną, jeżeli chodzi o efekty szybkie i doraźne.

2) Autor jest zwolennikiem przymusu, gdyż uważa, że tylko przymus władczy (ustawowy) potrafi ująć w mocne karby olbrzymią czeredę naszych „myśliwych w cudzysłowie", to jest — posiadaczy kart łowieckich.

3) Zdaniem Autora, przymus powinien być zrealizowany w ten sposób, że każdy myśliwy (to jest posiadacz karty łowieckiej), stając się automatycznie członkiem Związku Stow. Łow., zostanie ustawowo przymuszony do opłacenia rocznie złotych 5 na rzecz Związku i że te 5 złotych będą ściągane łącznie z opłatą za kartę łowiecką na rzecz Państwa.

Zarazem Autor zgadza się ze mną, że należy zachować obecną organizację społeczno - łowiecką w postaci Związku stowarzyszeń łowieckich, dając jeno tej organizacji mocny i trwały grunt pod nogami w formie ustawowego subsydjum państwowego (wspomniane 5 zł. od każdej karty łowieckiej). W tym punkcie Autor, podobnie jak ja, jest przeciwnikiem etatyzmu w łowiectwie i również podobnie jak ja, widzi naczelną rolę Państwa w łowiectwie — w popieraniu (pieniężnem) akcji społeczno-łowieckiej. Taka odpowiedź na pytanie, będące „osią" zagadnienia łowieckiego, pytanie: „etatyzm czy liberalizm w łowiectwie?" — sprawia, że właściwie zgadzamy się z Autorem co do rozwiązania naczelnego zagadnienia łowieckiego i że przeto różnimy się tylko w detalach. Zdawałoby się więc, że wszelka dalsza replika z mojej strony byłaby zbyteczną... Tak jednak nie jest, niestety, a dlaczego — zaraz wyjaśnię.

Mimo zarzutów ze strony niektórych moich Oponentów, nie jestem ani bezkrytycznym idealistą, ani bezgranicznym optymistą. Odwrotnie: — mam sam wrażenie, że patrzę na rzeczy czasem zbyt może trzeźwo. Stąd pochodzi niewiara moja w radykalne i szybkie poprawy. Stąd też wypływa przekonanie, że — co innego głosić szczytne hasła i projekty, a co innego hasła te i projekty wcielić w życie. W naszem życiu, „znając naszą polską kłótliwość i słomiany ogień" (używam wyrazów p. Cierpińskiego) **wykonanie** projektu, owe — tak, zdawałoby się, drugorzędne — „detale" nabierają specjalnego znaczenia. I oto właśnie te detale, co do których różnimy się w naszych zdaniach z p. Cierpińskim, będą przedmiotem niniejszej repliki.

P. Cierpiński — tak, czy inaczej, może używam zbyt silnego określenia: — lekceważy rolę propagandy łowieckiej. Ja tę propagandę nieomal apoteozuję. Zanim jednak przemówię w obronie doniosłości tej propagandy ,pozwolę sobie zanalizować w sposób krytyczny wywody Sz. Autora.

Autor żąda przymusu ustawowego w formie nałożenia na każdego posiadacza karty łowieckiej obowiązku opłacenia pewnej kwoty rocznej na rzecz organizacji społeczno - łowieckiej (Związku). Innemi słowy, Autor żąda **nowelizacji prawa łowieckiego**, albowiem na innej drodze, niż ustawowej, wprowadzenie takiego **przymusu** byłoby zgoła niemożliwe.

Nowelizacja prawa łowieckiego... Miły Boże! Pamiętam ów dzień w wiekopomnym dla łowiectwa grudniu 1927 r., gdy po raz pierwszy trafił mi do rąk tekst naszego prawa łowieckiego. Pamiętam, z jakim zapałem zabrałem się do studjowania tego tekstu... I pamiętam, że jedną z pierwszych refleksyj, która mi się nasunęła, było pytanie nader żałosne, bo (narazie) bezpłodne:

— Dlaczego nie wprowadzono dla myśliwych przymusu należenia do wszechpolskiej organizacji społeczno - łowieckiej (Związku)? Dlaczego nie umiano, czy nie zechciano zrozumieć, że „myśliwy zrzeszony" to jedyny myśliwy mający prawo do polowania, do uzyskania karty łowieckiej?!...

Po namyśle powiedziałem sobie: — trudno. Nie odrazu Kraków zbudowano. Może społeczeństwo nasze nie dorosło jeszcze do takiego luksusu, jak — przymus należenia myśliwych do Związku. Czekajmy, co powie praktyka.

Sz. Autor, jako (o ile wiem) nie prawnik i przytem zapewne myśliwy nieobeznany z arkanami naszej rodzimej techniki ustawodawczej, prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, jaka otchłań najróżnorodniejszych trudności mieści się w tych trzech napozór skromnych wyrazach: „nowelizacja prawa łowieckiego"... Nowelizacja ustawy — to i żmudna, benedyktyńska praca przygotowawcza autorów projektu; to i prawniczo-stylistyczne wygładzanie tekstu niepisanego przez fachowca (rozumiem tu przez miano fachowca, nie byle prawnika, lecz prawnika wyspecjalizowanego w pisaniu ustaw i rozporządzeń); to i dokuczliwa a mozolna katorga „uzgodnień" międzyministerjalnych; to i niemniejsza katorga obrony projektu w komisjach i na plenum naszego parlamentu, z których to „kuchni ustawodawczych" projekt wyjść może (i często, jak uczy praktyka, wychodzi) zgoła zniekształcony, zupełnie niepodobny do swego pierwowzoru... Myśliwi polscy dobrze wiedzą, że obecna nasza ustawa łowiecka powstała dość szybko i sprawnie dzięki dwum warunkom: 1° dzięki ówczesnym pełnomocnictwom Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy bez udziału Sejmu, 2° dzięki osobistej energji ś. p. Juljana Ejsmonda, który potrafił projekt ustawy „przepchnąć" niemal bez zmian... Czy te dwa warunki „zaistnieją", gdy przystąpimy do nowelizacji prawa łowieckiego? Niewiadomo. Lepiej być raczej pesymistą i przypuszczać najgorsze. I nie zaszkodzi przewidywać rzecz „gorszą od najgorszej" (dla łowiectwa): — że w trakcie nowelizacji prawa łowieckiego zgodny



II nagroda na konkursie „Łowca P.". Z Tatr. Świstak. Fot. Wł. Suleja.

wysiłek naszych „kuchni ustawodawczych" okroi, wyrzuci z tego prawa szereg przepisów pożytecznych i koniecznych. Słowem, nie zaszkodzi obawiać się, że na uwieńczenie „akcji nowelizacyjnej" dostaniemy prawo łowieckie, gorsze od tego, które dziś posiadamy...

To jedno. Następnie — wystarczy przejrzeć roczniki „Łowca P.", „Łowca" lwowskiego i innych czasopism fachowo - łowieckich za lata 1928 — 1929 i za rok bieżący, by przekonać się, ile krytyk w świecie łowieckim wywołał niemal każdy artykuł naszego prawa, ile projektów „nowelizacyjnych" już konkretnie wysunięto... Dużo jest krytyk gołosłownych, ale również dużo rzeczowych i słusznych. Co do niektórych kwestyj istnieje już nawet harmonijna zgodność w opinji całego naszego świata łowieckiego, jak np. w żądaniu uproszczenia procedury rozważana przez specjalną komisję złożoną z wybitnych fachowców (o ile mi wiadomo, Zw. Polsk. St. Ł. już komisję taką wyłonił).

Wszystkie te trudności wyłuszczyłem dlatego, by udowodnić, że jeżeli lekceważona przez p. Cierpińskiego propaganda łowiecka jest robotą „zakrojoną na długie lata", to i realizacja projektu Sz. Oponenta może nastąpić dopiero po pewnym (niekrótkim) szeregu lat... I w tem tkwi słaba strona projektu p. Cierpińskiego...

A teraz słów parę w obronie propagandy łowieckiej.

W sprawie propagandy nie łudziłem się nigdy nadzieją na efekty błyskawiczne. Zresztą wogóle w możliwość, a zwłaszcza w trwałość efektów błyskawicznych nie wierzę. Powtarzałem parokrotnie, że tylko mozolna, żmudna, krok za krokiem prowadzo-



III nagroda na konkursie „Łowca P.". Fot. J. książę Jabłonowski.
Z rykowiska w Karpatach. Szczyt „Arszyc" w Gorganach. Strażnik łowiecki.

tworzenia obwodów wspólnych, w żądaniu zmiany przepisów o sądach rozjemczych w sprawie szkód łowieckich, w żądaniu przyznania poszkodowanemu przez przestępstwo łowieckie, praw oskarżyciela przed sądem i t. p. i t. p. Z powyższego wynika, że zmiana prawa łowieckiego nie może dotknąć jakiegoś poszczególnego przepisu, w danym wypadku — przymusu należenia do Związku, — lecz powinna w sposób ostrożny, mądry i przemyślany „przenicować" całe prawo łowieckie, zastanawiając się nad celowością treści i brzmienia każdego niemal artykułu. Inaczej nie wyobrażam sobie nowelizacji naszej ustawy. Zwłaszcza nie wyobrażam sobie nowelizacji ad hoc, od wypadku do wypadku, „na raty"... Nowelizacja ustawy łowieckiej powinna być pracą sumienną i ostrożną, powinna być wszechstronnie na akcja propagandowa zdoła skruszyć mur obojętności społeczeństwa naszego dla spraw łowieckich. Niemniej uważam, że najdrobniejszy wysiłek propagandowy już doraźnie daje pewien efekt — niewielki lecz realny, kruszy jedną cegiełkę tego tępego muru obojętności. Zilustrowałem to w swoim czasie na przykładach, a jako skromny działacz łowiecki na terenie jednego z naszych województw (jednego z najmniej „wdzięcznych" województw ze względu na poziom kultury łowieckiej!) z dnia na dzień obserwuję powolny, ale stopniowy i stały wzrost „uświadomienia łowieckiego" wśród myśliwych. To też twierdziłem i twierdzę, że propaganda, jakkolwiek jest pracą trudną i mozolną, przynosi jednak odrazu pewne, realne, acz nieduże narazie, korzyści. Jest — pracą celową i żywą, a nie „sie-

dzeniem z założonemi rękami". Jest — pracą twórczą i rzeczową, a nie snuciem b. może pożytecznych, lecz na dalszą metę obliczonych projektów. Takim jest pierwszy, bardzo doniosły plus propagandy.

Wiemy wszyscy, czem jest reklama dla handlu. Nazywają reklamę (całkiem słusznie) dźwignią handlu, dźwignią, bez której handel pędzi żywot suchotniczy i zamiera. **Czem jest reklama dla handlu, tem jest propaganda dla każdej akcji społecznej.** Rozumie to doskonale każdy, kto choć raz w życiu brał udział w jakiejkolwiek pracy społecznej. Każdy „społecznik" wie dobrze, że nawet 20-rzędna, lecz dobrze „zaagitowana" akcja społeczna ma wielkie powodzenie, gdy odwrotnie — najszczytniejsze hasła społeczne rozbijają się o ten „mur obojętności", jeżeli nie są propagowane, lub jeżeli są propagowane nieudolnie. Lekceważyć znaczenie propagandy w pracy ideowo - łowieckiej oznacza — zrzec się zgóry pomyślnych wyników tej pracy!

Nie przesądzałem bynajmniej i nie przesądzam form i środków propagandy. Pisma fachowo-łowieckie nie są wcale jedynym środkiem propagandy łowieckiej, zaś poczytność tych pism nie jest jedynym miernikiem wzrostu uświadomienia łowieckiego. Znam np. myśliwych, którzy „Łowca Polskiego" nie abonują i nie czytają, lecz są członkami towarzystwa ideowego, zrzeszonego w Polski Zw. St. Ł. Bynajmniej myśliwych takich nie pochwalam i przy każdej okazji staram się tłumaczyć im konieczność prenumerowania „Łowca P.", jednak uważam, iż tacy myśliwi są zjawiskiem bardziej pożądanem, niż tacy, którzy ani pism łowieckich nie prenumerują, ani do żadnego zrzeszenia łowieckiego nie należą! Propagandę łowiecką rozumiem jaknajszerzej i zaliczam do niej nietylko czasopisma łowieckie i **niełowieckie,** nietylko broszurki. ulotki, odezwy i t. p. enuncjacje w formie słowa drukowanego, lecz również: odczyty, pogadanki, **radjo, filmy, barwne plakaty poglądowo-agitacyjne** — i wreszcie najprostszą, codzienną formę propagandy: — **agitację ustną.** Tej ostatniej zwłaszcza formy propagandy nie należy lekceważyć: niżej podpisany drogą agitacji ustnej t. j. drogą „próśb i gróźb", „zawstydzań", „gromów", a nawet... wymysłów zwerbował w ciągu niecałych 3-ch lat przeszło 100 członków Tow. Łow. Województwa Wileńskiego! Jeżeli chodzi o „uderzenie w całe społeczeństwo", to również nie można lekceważyć prasy niełowieckiej. Numer „Łowca P." przeczyta z zaciekawieniem tylko myśliwy i to nie każdy. Numer organu poczytnej prasy powszechnej czyta od deski do deski szereg czytelników. Dlatego to cieszę się niezmiernie, gdy jakiś „Światowid", lub „Il. Kurjer Codzienny" poświęci od czasu do czasu jedną stronicę sprawom łowieckim. Dla propagandy łowieckiej taka jedna stronica znaczy czasem więcej, niż całe roczniki pism fachowo-łowieckich! Dlatego też redaguję od 3-ch lat z zapałem i z wiarą w lepszą przyszłość dodatek łowiecki do gazety wileńskiej „Słowo", bo wiem, że ten skromny dodatek miesięczny dociera do różnych, zapadłych kątów, gdzie „Łowiec Polski" zajrzy nieprędko, że z nudów małomiasteczkowych i wiejskich czytają go od deski do deski ludzie, którzy z jego łamów dopiero się dowiedzą, że istnieje jakaś „kultura łowiecka", jakaś „praca ideowo-łowiecka", że o łowiectwie piszą i drukują (słowo



III nagroda na konkursie „Łowca P.". Przy koniach. Fot. inż. Kaz. Weiss.

drukowane—święta rzecz!) zupełnie poważnie, niczem o Lidze morskiej i rzecznej lub o Lidze lotniczej i przeciwgazowej! — I oto taki grzyb lub szlagon prowincjonalny zaczyna się potrosze interesować łowiectwem. Jest to już wielki sukces: jedna z cegieł „muru obojętności" kruszy się i odpada...

Lekceważyć znaczenie propagandy dla każdej pracy społecznej, a w szczególności dla pracy społeczno-łowieckiej, znaczy to samo, co twierdzić, że barwne reklamy świetlne firm handlowych, będące obecnie symfonją kolorową życia wielkich miast, są tylko jałowem zużywaniem prądu elektrycznego. Propaganda łowiecka jest rzeczą pilną i konieczną, byle była celową i umiejętną. Dla prowadzenia jej potrzeba dwuch rzeczy — pieniędzy i umiejętności. Pieniądze może już obecnie dać Państwo (z dochodów z kart łowieckich). Na to nie potrzeba nowelizacji prawa łowieckiego, lecz wystarczy złożyć władzom (Ministerstwu Rolnictwa) dobrze przemyślany i dobrze umotywowany memorjał. Nie mam wątpliwości, że takiego memorjału władze nasze nie odtrącą. Umiejętność propagandy polegać będzie przedewszystkiem na scentralizowaniu pojedynczych wysiłków lokalnych towarzystw i jednostek.

Poniżej daję swoje wnioski, jako projekt rozwiązania „sprawy pilnej i zasadniczej". W skromności ducha nie uważam ich za idealne. Odwrotnie, cieszyć się będę, gdy spotkają się z krytyką rzeczową. Podkreślić pragnę tylko tę dobrą ich stronę, że **nadają się one do realizacji w każdej cąhwili, natychmiast...**

Oto moje wnioski:

I. Polski Związek stow. łow. wystąpi do Ministerstwa Rolnictwa z memorjałem, w którym, powołując się na art. 73 prawa łowieckiego („opieka nad łowiectwem"), poprosi o stałe, roczne subsydjum pieniężne, które będzie częściowo rozdysponowane przez Centralę, częściowo — przez tęż Centralę rozdzielone pomiędzy lokalne zrzeszenia łowieckie, pracujące ideowo (wojewódzkie).

II. Uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczone będą na cele kultury łowieckiej w najszerszem tego słowa znaczeniu (rezerwaty, ochrona zwierząt rzadkich, nagrody, wydawnictwa, instytut łowiectwa, hodowla etc. etc.). Pewną, niemałą część sumy przeznaczy się wyłącznie na **propagandę łowiecką.**

III. Polski Związek stow. łow. wyłoni i utworzy przy Centrali warszawskiej **„Sekcję propagandy łowieckiej".** Sekcja propagandy będzie miała na celu: wpływ na redagowanie „Łowca P." w kierunku stałego uwzględnienia na jego łamach akcji propagandowej; koordynowanie i wspomaganie prowincjonalnych wysiłków propagandowych; zorganizowanie (przy pomocy lokalnych działaczy łowieckich — literatów) stałej, że tak powiem—„obsługi łowieckiej" wszystkich poczytniejszych czasopism w całej Polsce (chodzi o to, by każdy poczytniejszy dziennik, tygodnik i t. d. umieszczał w regularnych odstępach stały dział łowiecki na podobieństwo dodatku łowieckiego do „Słowa" wileńskiego lub na podobieństwo działu „W polu, kniei i na wodach"— „Dziennika Poznańskiego"); wpływ na produkcję i wyświetlanie **dobrych** (w sensie propagandowym) filmów łowieckich; wpływ na „Polskie Radjo" w kierunku uwzględnienia w radjoprogramach stałego działu łowieckiego; **wpływ na uwzględnienie elementarnych przykazań łowieckich w szoklnictwie początkowem** i t. d. i t. d.

IV. **Na dalszą przyszłość:** komisja nowelizacyjna P. Zw. S. Ł. przyjmie pod rozwagę w pracach swych nad zmianą prawa łowieckiego projekt p. inż. M. Cierpińskiego w kierunku: 1) wprowadzenia „przymusu zrzeszenia się" (w myśl zasady: „ten tylko ma prawo polowania, kto jest członkiem towarzystwa łowieckiego zrzeszonego w P. Z. S. Ł."; 2) oddania części opłaty za kartę łowiecką (np. 5 zł.) na rzecz Związku.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



III nagroda na konkursie „Łowca P.". Borsuk. Fot. A. Wiśniewski.



# PECH.

To, co opowiem, przydarzyło mi się rzeczywiście. Nie dodam ani słowa, już choćby dlatego, że w przeciwnym razie do Szanownej Redakcji nadeszłoby w paru dniach sprostowanie ze strony dwuch moich najmilszych przyjaciół, łaskawych świadków onego pecha.

A było to tak.

„Młyniska, Tarnopol 17 dryling". Razem z nieczytelnym podpisem pięć słów, które, jak się potem okazało, miały oznaczać, że ośmnastego i dziewiętnastego stycznia będzie polowanie w Młyniskach, że dzień przedtem czeka mnie w Tarnopolu mój oszczędny depeszodawca i że będą dziki, które mam porazić swem trzylufowem koromesłem.

Depeszę tę doręczono mi na dwie godziny przed odjazdem pociągu, w momencie, kiedy w czwartym robrze, założywszy się na oba boczki, miałem wygrać pięć bez atu z kontrą, nie mając trzech asów, i kiedy, wskutek tego, cały sens życia zogniskował się w problemie, czy przeciwnicy zgrają swe asy, czy też zamarynują jakiego. I taki zamarynowali asa trefl. Co to była za awantura potem!

Nic jednak dziwnego, że w takiej sytuacji ledwie na pół godziny przed wyjazdem, zdołałem się pozbyć roznamiętnionej bandy. Na spakowanie się, sprawdzenie ładunków, skontrolowanie kasy i zjedzenie czegokolwiek zostało mi piętnaście, brzemiennych w skutki, minut.

Pech zgłosił się już w wagonie. Okazało się bowiem, że zapomniałem jaśka, bez którego spać nie mogę, wobec czego zmuszony byłem przez jedenaście godzin wysłuchiwać intymne szmery, wydawane przez trzech moich towarzyszy podróży, śpiących, aż miło.

W Tarnopolu, po radosnem cium-cium i dwustronnem „co słychać", przekonałem się, że mydło do golenia wziąłem, ale pędzel został w Warszawie, zaś żyletce brakowało nożyka. Zamiast wody do ust, wydostałem z walizki pusty flakon od perfum, a para ciepłych pończoch wełnianych przeobraziła się w damskie, gazowe ze strzałką. Tyle razy prosiłem, by nie wprowadzać na półkach szafy, komunistycznego gospodarstwa!

O tubce niezrównanego „Taky", która miała zastąpić pastę do zębów, i nieznacznej zamianie szczoteczki do tychże na taką samą zresztą szczoteczkę do czyszczenia maszyny Singera, nie wspominam przez wzgląd na swego oszczędnego przyjaciela, który twierdzi, że zęby najlepiej czyści się palcem i kredą. Palec miałem ja, a on kredę.

Wyjeżdżamy z domu we czwórkę na dworzec. Maty już częściowo ułożone w aucie, w piękną stertę, gdyż na każdego coś cztery sztuki przypadało; wciskamy się pomiędzy szczeliny do środka, dostajemy na kolana resztę i z westchnieniem ulgi ruszamy.

Przyjeżdżamy przed samym odjazdem pociągu i wypierając ostatni dech z siebie, dopadamy wagonu drugiej klasy, jedynego w pociągu, sprytnie umieszczonego na samym początku. Sapiąc, sortujemy swe walizy podług przynależności osobistej i lokujemy je gdzie się da. Nagle widzę z przerażeniem, że brak mego drylinga. Włosy mi stają na głowie. Widocznie po ciemku zamieniłem futerały, a sługus i moja lepsza połowa stoi smętnie gdzieś pod ścianą, czekając na mój powrót z polowania. Niema innej rady, tylko uderzamy w prośby do kierownika pociągu. Poczciwy człowiek — daj mu Boże zdrowie i pociechy z dziatek — zgodził się po przesłuchaniu tragizmu sytuacji, wypić jeszcze na nasze powodzenie jedno „duże" w bufecie. Przez ten czas, ale ani sekundy dłużej, wstrzyma stalowego rumaka. Bodaj to prowincja!

Wątpię, czy Nurmi kiedykolwiek w życiu tak biegał, jak ja wtedy do auta. W poczekalni dworcowej brodate, poważne, szanowne patryarchy tarnopolskiego kahału ze zgrozą patrzyły na moje migające pięty, a posterunkowy aż pasa poprawił i przerwał emocjonującą rozmowę z jakąś hożą dziewą.

W try miga byłem w domu, porwałem broń, stojącą przy ścianie, skląłem sługusa w burą mać, i nazad.

Zanim pan ze skrzydełkiem obtarł z zawiesistych wąsów pianę Lwowskich Zjednoczonych Browarów, siedziałem w przedziale, dzierżąc pomiędzy kolanami, nieszczęsnego drylinga.

Były to jednak wszystko nadprogramowe peszki, które nie wytrącały z równowagi i, rzecby można, pewną niewinnością się odznaczały. Te soczyste, najmilsze, zachowane mi zostały na później.

Na leśniczówce zgubiłem najpierw na podwórzu, w kupie śniegu papierośnicę wraz z całodziennym zapasem papierosów. Gdym ją wreszcie znalazł, okazało się, że wszystkie papierosy przemoczone były

jakąś żółtą, podejrzaną cieczą. Widmo sympatycznej żebraniny papierosowej stanęło przedemną.

W pierwszym miocie dostałem stanowisko trzecie z rzędu. Zasiadłem na krzesełku wygodnie i ładuję broń. Lewka i zajęczy. Widzę jednak, że mi ekspresowy ładunek coś twardo wchodzi w komorę; sądząc, że to skutek różnicy temperatury ładunku luf, naciskam. Nie pomaga. Naciskam jeszcze silniej, składam wreszcie dryling energicznie, i nic. Coraz bardziej zdenerwowany, poczynam mocować się z upartym ładunkiem, nie chcąc go już wprowadzić w komorę, ale wyjąć. Ba, nie chce dać się wyjąć; moje wysiłki wystarczyły tylko w zupełności, by gruntownie umocować go w lufie do czterech piątych długości. Szukam extraktora; zapomniałem go wziąć, choć wiem napewno, że był w walizce. Nie miałem innej rady, jak tylko rozebrać broń. Wtem trąbka ogłasza, że naganka rusza.

Wspomniawszy, że starożytni filozofowie nakazywali opanowywać swe impulsy, upatrując w tem istotę człowieczeństwa, zadaję sobie gwałt, by nie wyrżnąć drylingiem o najbliższą sosnę, i rozbieram go zgrabiałemi od mrozu rękami. Do pomocy miałem tylko scyzoryk. W czasie tej miłej operacji przebiega obok mnie jeden zając, a potem drugi; po chwili sąsiad podaje mi trzeciego, a ja dłubię scyzorykiem koło swego nieszczęścia. Złamawszy trzy ostrza, wydobyłem wreszcie przeklęty ten ładunek. Co się okazało? Oto niegdyś, pragnąc kupić w Spółce ładunki ekspresowe, a nie będąc pewny, czy nadadzą się do kapryśnego kalibru mego drylinga, wziąłem jeden na próbę i stwierdziwszy, że o włos nie pasuje, wskutek lekko konicznej formy, wrzuciłem go do szuflady pomiędzy różne stare rekwizyty myśliwskie. W pośpiechu porwałem go odruchowo wraz z kilkoma innymi drobiazgami. Pech, ten stary, złośliwy despota, chciał, że właśnie na niego trafić musiałem, sięgając do kieszeni, tam, na stanowisku.

Cała ta, nadprogramowa przeprawa kosztowała mnie coś ze cztery zające i tyle bezsilnej wściekłości, że możnaby nią z powodzeniem sto osób obdzielić i każdaby miała dość.

Stanowisko w drugim miocie wypadło mi na flance, ta zaś na krzaczkowatem zboczu, tak śniegiem zawianem, że po brzuch przyszło mi brnąć w zaspach. Nie będąc przygotowanym na takie torowanie własną osobą, drogi w miotach, miałem berlacze, dochodzące zaledwie do kolan. Oczywiście ponabijały mi się one w jednej chwili śniegiem, tak dokumentnie, że poczułem go w bucikach. Servus! — Wrażliwy niezmiernie na marznięcie stóp, wiedziałem, czem to pachnie. Nastrój mój i cały światopogląd począł się na nowo zasnuwać chmurkami. Aby uratować resztki samopoczucia na następne mioty, musiałem operację wykonać natychmiast. Usiadłszy więc w zaspie, ściągam berlacze i trzewiki, i wytrząsam grudy śniegu, na szczęście na wpół tylko roztopionego. Przez ten czas stopy zdążyły mi tak skostnieć, że ich z początku nie czułem, a potem zawiodłem w swojej jamie zawrotny tan, mogący w osłupienie wprowadzić czerwonoskórego. Miot oczywiście rozpoczął się już dawno. Całe szczęście, że siedząc w dołku, nie widziałem, czy i co koło mnie przebiegało, z gęstości jednak strzałów orjentowałem się, że musiało tego być dość.



III nagroda na konkursie „Łowca P.". Lis. Fot. A. Wiśniewski.

Jak się potem okazało, we wszystkich miotach, dojścia do stanowisk były przetarte, tylko w tym nie; w naszem gronie zaś było coś czterech, zaopatrzonych w wojłoki aż po pas. Proszę mi powiedzieć, dlaczego właśnie na mnie to trafić musiało?

Trzeci i czwarty miot minęły spokojnie. Zdawało się, że pech znikł bezpowrotnie. Zdawało się, aha!

Zaraz w następnym stoję przed halawką, po za którą gąszcz, dochodzący półkolem do linji, o jakie ośmdziesiąt kroków odemnie. Zanuciwszy cichutko dwum zającom „w mogile ciemnej", słyszę w gąszczu łomot i po przez gałęzie widzę kontury sporego dzika. Na

halawkę nie wychodzi, tylko krzakami szoruje do linji. Dobra jest; musi mi wyjść! Spokojnie wekslują dryling na kulę i złożony czekam. Po długich sekundach oczekiwania, podczas których dzik jegomość miał jeszcze jakieś niecierpiące zwłoki, sprawy do załatwienia w krzakach, wyskakuje czarna masa na linję, przednią łopatką wprost w strzał. Po strzale znika mi w krzakach po drugiej stronie, wąziutkiej w tem miejscu linijki. Ale pewny swego byłem. Jeżeli nie w komorze, to na dobrej łopatce kula jest.

Ledwie dzik mi z oczu zeszedł, smaruje przez halawkę zajęczyna. Machinalnie wekslują szyberek i — łup. Ba, człowiek tylko strzela, a kule Pan Bóg nosi. Dość, że strzał nie padł, tylko jakieś niemrawe kłapnięcie. Co jest?! Tak zbaraniałem, że zapominam z lewki wygarnąć, i puszczam kota na czysto, ku jego obłąkanej radości. Wyciągam wreszcie ów nieszczęsny, zawodny ładunek i ze zdumieniem widzę, że pusty; już wystrzelony. Jakżesz! Pamiętam przecież, że po ostatnim strzale do zająca, zmieniłem naboje. Dwa razy strzeliłem, nie licząc dzika, i obie gilzy leżą na śniegu koło mnie. Pustych ładunków nie chowam nigdy, więc co się stało? Chochlik jakiś, opiekuńczy duszek tego zająca, wdał się widać w sprawę i zepsuł mi strzał. Trudno; w każdym razie trzeba, korzystając ze sposobności, zmienić wystrzelony i kulowy ładunek. Dobywam go i zmieniam się w słup soli. Ładunek pełny, kula tkwi, jak za odbrych czasów, kapiszon dziewiczy. Przebóg! Ja do dzika śrutem wygarnąłem! Gwałtu!!

Ale jak się to stać mogło? Wtedy, gdy dzik szorował mi przez krzaki, wiem, że spokojnie zwekslowałem szyber. Potem znowu go przesunąłem na śrut. Tego już zupełnie nie mogłem zrozumieć! I do dziś nie rozumiem. Nic innego, tylko djablik jakiś nastawił mi fałszywie szyberek przy strzale do dzika, a potem instynktownie spojrzawszy i zobaczywszy prawidłowe nastawienie na śrut, nie zmieniałem już niczego, i w rezultacie z jednego ładunku chciałem dwa strzały dać.

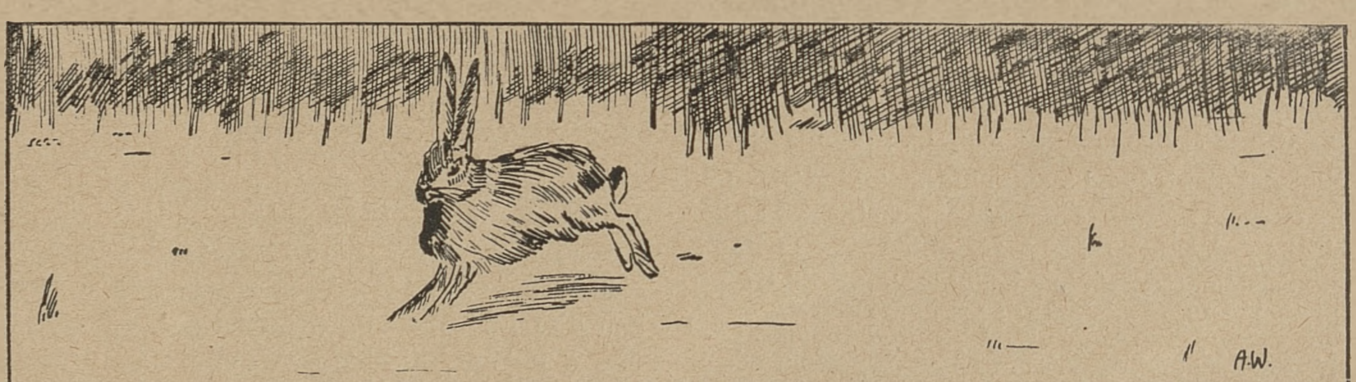
Płakać mi się chciało. Jeden, jedyny dzik przez cały czas polowania tego. I tak dobrze wyszedł; tak spokojnie strzelałem, jak nigdy; tak prawidłowo!

Pech nie odstąpił mnie już do samego końca. W ostatnim miocie zając zrulował mi wzorowo i na oczach legł, rzucając się jeszcze przez chwilę w śniegu. Obserwuję go jednak przez jakiś moment, by uprzedzić wszelkie możliwe komplikacje. Ale nic. Leży cicho; tylko cały lej, drgawkami jego wybity, zabarwiony na purpurowo. Spokojny o niego przynajmniej, odwracam się w miot i czekam dalszych znaków łaski św. Huberta. Po miocie, jako że jeden z ostatnich stałem, idę po swego kopyrę. Cały dzień tak mnie zdemoralizował, że nawet nie odczuwam zdziwienia, gdy widzę, że mój lejek pusty, a zająca ani śladu, dosłownie, ani śladu nawet, którędy się wymknął. Farby pełno, w jamce aż czerwono od niej, a po za nią w promieniu stu kroków ani kropelki; co gorsza, nie mogę nawet dostrzec świeżego tropu. Przepadł po dziś dzień.

Wieczorem siadłem do bridge'a i w trzech robrach bez boków, po pięć groszy, przegrałem sto złotych, jak obszył! Niech to kto potrafi!

Pech, sobaczy, wściekły pech!

ANDRZEJ LONGCHAMPS.




# ŁOWY PO SEZONIE.

Gdy ustaną ciągi, umilkną toki, ochrypną krykuchy i gdy niedobitki kaczorów schronią się w niedostępnych sitowiach, aby oddawać się pokutniczym refleksjom; gdy cisza zapanuje nad polami — cisza płodna troską o rozwój młodocianych pokoleń, — wtedy myśliwy trochę poetyzuje, włócząc się po swych terenach wprawdzie z bronią, lecz często bez amunicji i oczywiście, potrosze się nudzi, jeżeli los łaskawy pozwala mu na ten bądź co bądź luksus.

Zaś szatan nie zasypia gruszek w popiele, wiedząc z praktyki, że kto się nudzi, ten chętnie zgrzeszy dla rozrywki. Tem snadniej niecnocie to przychodzi, że myśliwy żyje właściwie i tak w orbicie ustawicznych pokus. Ćwiczą go one podwójnie; jako człowieka wogóle i jako człowieka obciążonego dziedzicznie zamiłowaniem do przygody.

Tak tedy nudził się i pan Wacio. Interes, jak naoliwiony mechanizm, szedł dobrze; lokatorów w swych dwóch kamieniczkach miał nad podziw i ludzką miarę solidnych, żonę omal że małomówną (była nieco chorowita), teściowej zmarło się w zeszłym roku na puchlinę wodną, a siedmioletnia córeczka nie nastręczała

jeszcze tylu kłopotów, jakich mogłoby nastręczyć dziewczę czułe, powojenne i w siedemnastej będące wiośnie.

I wierzcie lub nie — akcepty p. Wacia nie potrzebowały się rumienić na widok lubieżnie uśmiechniętej, tłustej gęby rejenta — słowem, wszystko było w porządku.

Sam p. Wacic, mimo czterdziestki z odnogami, czuł się dobrze; kuracja mleczna, którą od kilkunastu lat się umartwiał, stała się powoli zabiegiem, umilającym wprost życie, i czemś tak nieodzownem, jak to bywa w słodkim okresie niemowlęctwa.

Nic dziwnego przeto, że w jego organizmie, zahartowanym należycie wśród myśliwskich trudów, pod wpływem dobroczynnego słońca pulsował tego lata potężny rytm życia. Innyby jął się pisania kiepskich wierszy, zaś p. Wacio wolał przesiadywać wieczorami w miejskim parku, korzystając z tych właśnie osamotnionych ławek, gdzie, jak wiadomo, chętnie „zapadają" o zmierzchu istoty wrażliwe na światło dzienne i współczujące niedoli zbłąkanych mężczyzn. Rychło jednak zarzucił tę metodę—raz, że i małżonka zaczęła odczuwać o tej samej porze wyraźną chęć spaceru w parku z córeczką, a powtóre, że liczni znajomi (o znajomi, czemuż to jesteście w lecie tak liczni?) mogliby, jak się to pospolicie zdarza, najniepotrzebniej i w niewłaściwy sposób ocenić jego intencje. Zdumiewająca jest bowiem niekiedy i nagminnie złośliwa trafność sądów bliźniego twojego przy stwierdzonej, zdawałoby się, jego tępocie, z trudem zdobywanej od kołyski do chwili pogrzebu na koszt spadkobierców lub gminy.

Biorąc to pod uwagę, p. Wacio zapalił się do swych (szczęściem — nie do cudzych, bo i tak bywa) terenów łowieckich, dzierżawionych od kmiotków sąsiadującej z miastem, wioski. I tu, ofiarnie błądząc po pachnących macierzanką miedzach, niby pątnik, nauczał i prostował przestarzałe poglądy wśród ludu, a nadewszystko wdawał się w przyjazne pogawędki z nadobnemi Jagusiami i Hankami.

Nikt nie był świadkiem tych rozmów i jeżeli p. Wacio odbiegał niekiedy od tematu kuropatw i zajęcy, to trzeba przyznać, robił to ostrożnie i obejrzawszy się kilkakrotnie dokoła. Takie już zamiłowanie do dyskrecji miał ten człowiek. Nie lubił absolutnie reklamy. On, który był kupcem z babci i prababci!

I prawdopodobnie wyłącznie nieporozumienie odegrało rolę w następującym wypadku. Pewnego, czerwcowego popołudnia z kwitnącego żyta wypadł był na drogę zziajany p. Wacio, biegł nią przez dłuższą chwilę, aby w końcu trafnym, strategicznym manewrem (tak robi zając, czując za sobą pogoń) zawrócić i przywarować w tym samym punkcie, w którym awantura się zaczęła.

Przez pewien czas szły za nim hałasy, aż wszystko się rozpłynęło poniekąd w skwarze i cykaniu polnych koników, poczem na drogę wylazł, sapiąc, stary gospodarz, zdjął barankową czapę, otarł zroszone potem czoło, kichnął i wymamrotał: — Prędzej zająca zgonisz, niż takiego hycla! Szmytki, psiakość!

Ale gdzie jest pewność, że stary gospodarz myślał akurat o naszym bohaterze, jeżeli wogóle myślał? Czyż — pytam — p. Wacio, jako taki, nie mógł mieć nader pilnego interesu, wymagającego wytężonej szybkości nóg, natychmiastowej orjentacji i zgubienia czapki?

Znałem sędziego śledczego, który nie chodził, tylko biegał i w dodatku z gołą głową, a przecież nietylko nikt go nie gonił, ale każdy wprost unikał i ustępował jaknajchętniej z drogi. Więc dajmy temu pokój!

— — — — — — — — — — — — —



III nagroda na konkursie „Łowca P.". Fot. A. Wiśniewski.
Kuna.

W sklepie p. Wacia pełniła funkcje kasjerki i bodaj korespondentki panna Janka — dziewczę na oko lat dwudziestu czterech. Dziewczę smukłe, powiewne i zużywające więcej pudru i karminu, niż siedem najstarszych i najzasłużeńszych koryfeuszek wędrownego cyrku. Pudrowała się ona, rzec można, automatycznie, w miarowych odstępach czasu i bez wyraźnego bodźca. Widocznie jej duchowy mechanizm był nastawiony na tę czynność, jak pozytywka na odwiecznego walca. Nadto nic pozytywnego nie można było o niej powiedzieć. Zajęcia swe pełniła z dużym wdziękiem i nieco mniejszą znajomością rzeczy, zaś jej torebka — ta druga dusza kobiety — wykazywała zawartość przeciętną: chusteczkę z cudzym monogramem, puder, lusterko, karmin, ołówek, wycinek z gazety o cudownym kremie i stary bilet do kina. Tyle wszystkiego!

I zdziwił się niepomiernie p. Wacio, gdy pewnego, pięknego poranku z budki z napisem „kasa" ozwał się sympatyczny kontralcik panny Janki, na zgoła nieoczekiwany temat:

— Co to jest, panie szefie, polować na pomyka?

— Pani robi to codziennie, panno Janko!

— Ja?

— A tak! O siódmej wychodzi pani ze sklepu i spaceruje od kościoła do parku. Dwieście razy tam i z powrotem.

— Także coś... ależ ja na nikogo nie poluję! — zaoponował mniej już melodyjny kontralcik.

Pan Wacio zmiękł, jak parafina: — Nie mówię tego... tylko, że jest to rodzaj polowania, który polega na spacerze.

— Aha!... to musi być bardzo przyjemne!

— We dwoje... stanowczo tak!

Na to z budki uleciało westchnienie.

Innym razem p. Wacio, przy obrachunku dziennego targu, niespodziewanie został zainterpelowany przez swą sympatyczną kasjerkę.

— Panie szefie, co to jest dubelt?

„Pan szef" zrobił wielkie oczy.

— Dubelt? Co też pani przychodzi do... (w szarych oczach dziewczyny było tyle szczerego zainteresowania, że p. Wacio powiedział miękko i zdrobniale) „główki"?

I zaraz pośpiesznie wyrecytował.

— Dubelt jest to ptak błotny na długich nogach, aby się nie utopił, i o długim dziobie, żeby się miał czem podpierać. Pozatem jest smaczny — rozpływa się w ustach, jak słodkie imię ukochanej.

— To pan ładnie powiedział, panie Wacławie!

I p. Wacio zgodził się w duchu, że istotnie powiedział ładnie. Zrobiło mu się głupio, ale na gorąco to jest wybaczalne, zupełnie, jak można wybaczyć kotletom margarynę, póki jest jeszcze ciepła.

— A kto pani, panno Janko, opowiadał o dubeltach? Może są gdzieś w pobliżu? — pytał.

— Nie, — uśmiechnęła się tajemniczo — ale natura interesuje mnie ogromnie. I polowanie... Czytałam parę rzeczy pana Ejsmonda... Ach! jakżebym pragnęła zobaczyć kiedy polowanie!

Tu p. Wacio uczuł rodzaj objawienia. Stanowczo polowanie z tą wdzięczną istotką byłoby czemś zgoła wymarzonem. Niechby nawet bez jakiegokolwiek „rozkładu"!

— Z przyjemnością mogę pani służyć... jeżeli się pani zdecyduje... i to zaraz jutro — galopował p. Wacio.

— Ja codziennie wstaję o czwartej... takie cudowne bywają wschody słońca!

— I zachody są niezgorsze... rankami jest ogromna rosa... ale jeżeli pani sobie życzy, możemy pójść i rano... tak o ósmej, dziewiątej.

— Zgoda! o ósmej... ale gdzie się spotkamy?

— Gdzie pani każe... może obok drugiego mostu na Miodunce?

— Wiem, wiem — nieraz się tam kąpałam.

Długo jeszcze z budki z napisem „kasa" rozbrzmiewał radosny kontralcik panny Janki, przerywany wzruszonym tenorem p. Wacia.

— — — — — — — — — — — — —

— Niech pani skacze, panno Janko! Tędy! — zachęcał p. Wacio swą towarzyszkę.

I dziewczę wionęło z gracją nad półmetrowym rowkiem, płosząc kilka wygrzanych na słońcu żab.

— A widzi pan! Prawda? — szczebiotała.

— Istotnie... to jest coś nadzwyczajnego! — chwalił p. Wacio.

— Oj! woda... pantofelki mi przemokną.

— Trzeba je zdjąć! Może nie grzeszę zbytnią wprawą, ale... chętnie podejmę się tej misji.

— Ehe! — zaśmiała się srebrzyście — słyszałam ja coś, słyszałam! Chodzi panu o szczęście w łowach — co? Masz tu myśliwych!

— To są najmilsi ludzie, ale dla sarenek nieszkodliwi. Może i radaby dusza do raju, gdyby nie te paragrafy ochronne!

„Sarenka" pogroziła mu na to paluszkiem, poczem usadowiła się na pagórku i zdejmowała buciki. Zachwytom panny Janki nie było końca: lubowała się słońcem, morzem kwiatów, czajkami, które polatywały nad jej płową, chłopięcą czupryną; skowronkiem niby zawieszonym na nitce — a może swoją młodością, której łaskę widziała wszędzie — na niebie i ziemi.

On?... hm... nie jestem dość wyraźnie poinformowany o rodzaju zachwytów czterdziestoletnich panów i obawiam się, czy mogą być one bezinteresowne i przejrzyste, a to z powodu przedawnienia.

Przypominam w nawiasie, że p. Wacio wierszy nie pisywał nigdy, natomiast posiadał solidny sklep kolonjalny w śródmieściu.

Ale i kupczyk — bodaj po pijanemu — zerknie nieraz z satysfakcją na dzieło Stwórcy, wyposażone w ponętne szczegóły. Zapatrzył się i p. Wacio na swoją towarzyszkę.

Naraz z zacisznego bagienka złoto - modrego od kwiatów i uśmiechów pogodnego nieba, poderwał się barwny kaczor. Uczynił to leniwie i z gniewnem kwaknięciem. Najwyraźniej i zasadniczo nie lubił przeszkód w trawieniu.

— Panie, panie! Co to? — zadziwiała się panna Janka.

Ale p. Wacio odpowiedział, jak przystało myśliwcowi, podwójnym hukiem ze swej sagalasówki. Ka-



czorek kwakał jeszcze raz ze zdumienia i pożeglował bez przeszkody w kierunku stawów.

— Panie! to są przecież zwykłe pudła! — zauważyła rezolutnie.

— At... nich tam sobie żyje zdrów! — bąknął skonsternowany p. Wacio. — Ja tylko tak... dla postrachu... Bo trzeba pani wiedzieć, że kaczor tak się zachowuje, jak... e... kiepski mąż. Nic, tylkoby się bawił i kochał, a gniazdo i dzieci spycha na małżonkę. Gorzej, bo gdy napotka gniazdo, to gotów je zniszczyć — perorował, chcąc zatuszować wspomnienie pudeł, które go bolały ze względu na czarującego świadka.

Ale dziewczyna była uparta.

— Kiedy tak, to trzeba go było zabić. Koniecznie!

— Trafi się on jeszcze... na jesieni! — odgrażał się p. Wacio.

— Właściwie... to w czerwcu już nie strzela się do kaczorów.

Później zasiedli pod zeszłorocznym stogiem do śniadania, które p. Wacio dźwigał w siatce i dwóch termosach. Czego tam nie było? Wszelkie, możliwe próbki szanownej i dobrze zaopatrzonej firmy z uwzględnieniem gwarantowanych pomysłów familijnej kuchni.

Panna Janka jadła z apetytem, Wacio z rezerwą fundatora. Otrzymał przytem kilka klapsów, nietyle za brak apetytu, ile za pewną, wzrokową pochopność do ekskursji w okolice pokrytego złotawym puszkiem, karczku.

Ale karczek był ładny...

Więc nastąpiła przydługa nieco (oczywiście, dla widza, gdyby takowy był) serja dąsów i przeprosin.

Luba aura naszego kraju miewa czasami dobre pomysły, przecież każdy po dłuższej obserwacji przyzna, że brak jej emocjonującej stałości dolara. Ni stąd ni zowąd pociemniało, zagrzmiało, błysnęło i — co gorsza — krople wyjątkowo rzęsistego deszczu jęły prażyć naszą parkę, wygładzając na mokro jej spory i waśnie. Nie było czasu na wyrzekanie, bo może nawet ten i ów rolnik radował się z tej ulewy w swem gołębiem sercu, ale trzeba było uciekać.

— Uciekajmy! — zaproponowała męska inicjatywa p. Wacia.

— Moja bluzka... uciekajmy! Ale dokąd?

— Do tych domków za stawem. Znam tu kolonistę Buczka. Mazur... bardzo solidny człowiek. Winien mi nawet sto dziesięć złotych — dodał, jakby dla uspokojenia wątpliwości, których zresztą nie było. Zostały zatopione przez deszcz w zarodku.

Przemoczeni do bawełny, zdyszani i należycie zabłoceni dotarli wreszcie — po iście rekordowym biegu — do zagrody Buczka. Słowianin był ci to gościnny, choć może nie tak zasobny, jak ś. p. Piast, bo będący dopiero na dorobku, albo nie miał zamiaru zbyt pośpiesznie zwracać owych stu dziesięciu złotych — niewiadomo. Dość, że wędrowcy zostali napojeni mlekiem, ogrzani i niemal do cna wysuszeni przy ogniu, w czem dzielnie sekundowała małżonkowi pani Buczkowa.

P. Wacio wpadł w doskonały humor, nie przypuszczając zgoła, że wszelka radość miewa w sobie nieraz smutek, utajony wskutek przeczucia.

— No, jak państwu podoba się moja jedynaczka?

— Dorodna dziewoja — co? — pytał Buczkową.

— Oj, taże tak! Chybabym była ślepa!

— Chciałbym ją wydać zamąż, ale jakoś nie ma ochoty!

— I ochota się znajdzie, aby tylko „narzeczony" był po sercu — opinjowała stara.

— A kiedy przebiera nadto: ten łysy, ten tłusty, ten znów chudy, tamten za stary; kłopot i tyle — cięszył się p. Wacio.

— Choć i panienka jestaj „przebiórna", ale taki na swego trafi, co to będzie w sam raz.

— Trafi kosa na kamień, trafi — pocieszał poczciwy Buczek.

— Aby prędzej! Bo ileż to kosztuje takie wielkie pannisko! A to bale, a to sukienki, to futra! — cedził p. Wacio, patrząc wesoło na p. Jankę.

— Najgorzej... z temi futrami — zaśmiała się „córeczka". — Chciałabym je zobaczyć!

Wesołość udzieliła się i niebu. Wśród strzępów chmur przemycał się jowialny księżyc, tam i siam migotały gwiazdy. Trzeba było pomyśleć o powrocie.

— Ale nas odwieziecie, gospodarzu — co?

— A odwiozę, odwiozę, to się wie!

— I pożyczcie coś ciepłego dla córeczki, a i dla mnie jaką kapotę!

— Znajdzie się — a jakże!

Zasiedli do wózka, usadowił się Buczek i pojechali po wąskiej drodze ku świetlistej smudze, znaczącej na horyzoncie miasto.

W drodze było im wesoło. Panna Janka wprost zachwycała się przeżyciami dnia i oryginalnością sytuacji. Dokonali nawet wspólnie ważnego odkrycia, że tego rodzaju wycieczki są zdrowe, miłe i że należy je częściej powtarzać.

Po odwiezieniu panny Janki, nasz bohater z Buczkiem przybył do swej willi. Zaniepokojona małżonka oczekiwała programowo na ganku. Równie programowo szumiał w jadalni samowar.

Kiedy już para małżeńska siedziała zgodnie przy stole i p. Wacio sięgał do półmiska z kotletami i z groszkiem, do dobrze oświetlonego pokoju wtoczył się zacny Buczek.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki... a co tam, panie Buczek? — zapytał łaskawie p. Wacio.

— To — wyrzekł, składając na stole torebkę panny Janki, — pańska „córeczka" zostawiła na furze, alem w porę się obejrzał, to i przynoszę...

— Co? Co takiego?—Małżonka p. Wacia była chorowita i mówiła przyciszonym głosem. Miała ponadto bardzo rzadką zaletę małomówności. Jednak, chwytając torebkę, dziwnie przypominała panterę, co dowodziłoby, że pantery nie są gadatliwe przy wysoce rozwiniętej zdolności do czynu i zwinności. Pan Wacio zamarł z kotletem na widelcu. Zacny i o czystem sumieniu Buczek, otworzył gębę i, mrucząc coś, jął szukać klamki.

Tak! wszelkie łowy są dopuszczalne, tylko w odpowiedniej porze i — podkreślam — na własnym terenie. Proszę przeczytać ustawę!

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

# KULONY.

Już przyszła smętna jesień, ta przecudna bogini, pełna czaru i powagi, strojna w złotolite szaty przetykane srebrem pajęczyn; już powstała z uśpienia i żąda okupu od całej przyrody.

Lasy przywdziały szaty purpurowe, pola i łąki pokryły się nićmi pajęczyn, na których kropla rannej rosy mieni się jak cenny brylant, tęczą stubarwną. Tylko lekki wiaterek igra po polach, ciesząc się, że mu już nic nie przeszkadza w tej swawolnej gonitwie, a gdy napotka krzaczek przydrożny lub drzewko samotne, to rozgniewany wpada w konary i szarpie bezlitośnie liście, rozrzucając je po niwach i łąkach, niepomny skarg, jakie spływają razem z zerwanym listkiem na ziemię. Jesień to sroga władczyni!

Nawet buk prastary, ten król naszych lasów, strząsa powoli płaszcz purpurowy, czując, że czas panowania się kończy i że ciężka siekiera może go wkrótce pozbawić tak długiego żywota.

To też każdy listek — nim spadnie — trzepocze się na gałęzi, skarży się i stara się od śmierci wyprosić, a gdy już spadnie na ziemię, jeszcze za każdym podmuchem wiatru szemrze żałośnie.

Tylko świerk, ta świątynia gotycka, nie roniąc ani jednej szpilki, stoi majestatyczny i dumnie rozpościera swe konary na głuche podmuchy wiatrów jesiennych.A nad złotymi wierzchołkami drzew, nad zżółkłymi łanami łąk i pól, a na tle lazurowego nieba, zaczynają ciągnąć klucze gęsi, płaczących żórawi i stada przenikliwie a donośnie świszczących kulonów. Wszystko to dąży na południe.

W tym to właśnie czasie wyruszyłem na błota. do Nowosiółek, w powiecie Złoczowskim.

Równocześnie odwiedził mnie i brata nasz przyjaciel, dobry myśliwy a szczególnie „dobry" w tem znaczeniu, że ustawicznie smaruje strzelbę przeciw rdzy i pilnie wyciera chusteczką każdą kropelkę rosy lub też pajęczynkę. I tak we trójkę małym wózeczkiem, z nieodstępnym „Lordem", sunęliśmy szosą do rozległego, ptasiego raju, gdzie spodziewaliśmy się zadowolić naszą żyłkę myśliwską, wiedząc, że kszyków i dubeltów znajdziemy tam poddostatkiem, a może nawet nadlecą kulony.

Wszyscy mamy dobre humory, a szczególnie nasz towarzysz, który chcąc uprzyjemnić naszą drogę, śpiewał ciągle przestarzałego szlagiera „Ali baba" i opowiadał swoje przygody myśliwskie, w których towarzyszył mu ciągle pech. I tak: na wiosenny ciąg słonek wybrał się nasz przyjaciel z wabikiem na jarząbka, więc mogą sobie Szanowni Czytelnicy wyobrazić, jak świetne rezultaty osiągnął w tym rodzaju łowów; później polując na kaczki, wypadł z czółna i złamał łoże przy swojej hamerlesce, ale mimoto zabił jedną krzyżówkę, lecz miły sąsiad sprzątnął mu ją, dając celny strzał do ptaka znoszonego prądem rzeki. Potem zapytany, dlaczego strzelał do trupa, odpowiedział myśliwy z tryumfem i zarazem oburzony, że kaczka się ruszała i mogła zginąć, a zresztą do pióra ostatni strzał decyduje.

Punktem kulminacyjnym niepowodzenia był tegoroczny podchód na rogacza.

Otóż nasz nemrod zaraz pierwszego dnia postara miała mu towarzyszyć; — po długiem wyra miała mu towarzyszyć; lecz — po długiem wypatrywaniu — natknąwszy się na kapitalnego szóstaka, już wybierał miejsce, aby posłać celną kulę z kaarbinka, gdy piękna towarzyszka — z zachwytu zapewne—uważała za stosowne kaszlnąć, wprawdzie, jak się później usprawiedliwiała, zupełnie cicho.



Kulony.

Zdradliwe szczęście nie każdemu służy, tak też naszemu biedakowi tylko pech sprzyjał.

Po półtoragodzinnej jeździe dotarliśmy do folwarku, gdzie dowiedzieliśmy się, że stado kulonów w liczbie 90 przebywa od dwu dni.

Bezzwłocznie postanowiliśmy zapolować na nie.

Końmi szanownego pana Ł. dotarliśmy do rozległej łąki, gdzie rzeczywiście zobaczyliśmy stado spokojnie żerujące. Po chwilowym namyśle postanowiliśmy je podchodzić z trzech stron, kryjąc się po za krzaki olszyn, lecz po chwili zauważyliśmy, że stado zaczyna się niepokoić i na przeciągły a zachrypły głos przewódcy, ptaki zerwały się i odleciały o jakiś kilometr od nas.

Natychmiast podążyliśmy za nimi, ale o podchodzeniu nie mogło być mowy, gdyż kulony rozsiadły się na czystej łące, która przylegała do rozległych pastwisk.

Tutaj podał projekt nasz przyjaciel, ażeby każdy myśliwy postarał się o krowę i kryjąc się za nią, podsuwał się do stada.

Pomysł — jak się później okazało — był dobry, bo ptaki zupełnie się nie bały krów, a tem samem pozwalały nam na ciągłe zbliżanie się.

Po półgodzinnem kręceniu się po łące podeszliśmy do kulonów na 200 kroków, gdy nagle stado zerwało się i pociągnęło między brata a naszego towarzysza, którzy czterema strzałami ubili dwa ptaki.

Powodem tak szybkiej zmiany nastroju u naszych kulonów byłem ja; otóż krowa przezemnie pędzona wpadła w bagno, ale stało się to tak szybko, że niezdążyłem nawet skryć się za nią, naturalnie ptaki zdziwiły się i przeraziły widokiem człowieka i to tak blisko.

W tej chwili jedynem dla mnie pocieszeniem była zdobycz moich towarzyszy, którzy — w różowych humorach — opowiadali mnie o pozycjach ptaków i o strzałach. Nawet pies rozgniewał się na krowę, która spłatała nam takiego figla, i atakując ją zajadle, szybko wypędził biedaczkę z grząskiego błota. Jeszcze kilkakrotnie próbowaliśmy podejść te długodzioby, ale wszelkie próby spełzły na niczem, ponieważ ptaki gorzkiem doświadczeniem nauczone, uciekały i unikały każdej krowy lub krzaczka olszyny.

Straciłem nadzieję dojścia dziś do strzału, zwłaszcza że słońce kończyło już swoją wędrówkę po niebie.

Ale Święty Hubert postanowił nas hojniej wynagrodzić za trud całodzienny, więc gdyśmy siadali na wózek, ażeby pożegnać te pola i łąki, fornal zauważył na horyzoncie jakieś ptaki. Przez chwilę nie mogliśmy poznać, aż gdy się stado zbliżyło i zataczając koło, zasiadło na wąskiej łące, poznaliśmy, że jest to nowe stado kulonów o wiele większe od pierwszego. Jeszcze przy zmroku zapolowaliśmy na nie, zwłaszcza, że ptaki — zapewne lotem zmęczone — nie bardzo się bały. Postanowiliśmy, że ja i nasz miły towarzysz, który już ledwo poruszał nogami, zasiądziemy w pewnem miejscu, którędy spodziewaliśmy się, że ruszone kulony sprobują przeciągnąć na gościnniejszy teren, a brat z fornalem mieli obejść stado i napędzać w naszą stronę.

Początkowo siedzieliśmy jak mumje, nic nie widząc, aż po pewnym czasie usłyszeliśmy pogwizdy kulonów w różnych miejscach, więc niecierpliwie wypatrywaliśmy nowych przybyszów, ażeby ich godnie przyjąć.

Tymczasem gwiazdy zaczęły wykwitać na niebie a mrok chyłkiem począł ogarniać świat cały, a z nim i czekających na „kujony" — jak je miejscowa ludność nazywa. Już się ściemniało na dobre, gdy nagle padł strzał dany przez brata i zaraz po nim usłyszałem świst skrzydeł i sylwety ptaków tuż nad swoją głową, więc momentalnie zmierzyłem do pierwszych sztuk przeciągającego stada.

Jeszcze nie ochłonąłem z wrażenia, gdy sąsiad mój dał dwa szybko po sobie następujące strzały — jak później opowiadał, nie widział on kulonów, tylko słyszał nad sobą krzyk przestraszonych ptaków i szum skrzydeł.

Tymczasem „Lord", który dotąd warował za mną, przyaportował jednego ptaka i radośnie wywijając ogonem, pobiegł szukać drugiego, który ze złamanem skrzydłem usiłował umknąć.

Jeszcze dłuższy czas słyszeliśmy nawoływania kulonów, które rozleciały się na wszystkie strony i błędnym lotem płynęły w mrok gdzieś hen w łęgi i pola, a z nimi ulatywały nasze wspomnienia, trudy i pragnienia.

B. OŻGA.

Zalesie.



# O KARMIENIU DZIKÓW.

Artykuł wstępny „D. Jaegerz." (41) zajmuje się szeregiem wywodów na temat karmienia dzików w zimie. Z obszernej tej pracy podajemy w streszczeniu trochę szczegółów praktycznych.

Autor ostrzega przed niewłaściwym systemem wywiezienia odrazu mnóstwa kartofli do rewiru i wyładowania ich na jedną kupę. Ma to ten skutek, że dziki nażrą się zbytnio, zjedzą wszystko zawczasu, a potem pójdą szukać żeru w sąsiednich rewirach obcych.

Natomiast należy karmę rozkładać rzadko i rozrzucać ją szeroko po śniegu po obu stronach prze-

smyków najbardziej oddalonych od granic sąsiada, robiąc dłuższe pauzy w sypaniu tak, żeby dziki musiały wędrować po rewirze i szukać tej karmy.

Wskazane jest, aby pomiędzy zasadniczą karmą rozrzucaną, jaką są kartofle i rzepa, — tu i ówdzie dosypywać niewiele żołędzi lub kukurydzy.

Ludzi, którzy to załatwiają, należy osobiście dozorować, o ile się nie ma do nich zaufania, że robotę tę wykonywać będą starannie.

Należy dodać, że płonną jest obawa niektórych hodowców, iż rozrzucane kartofle i rzepy w czasie mrozu ulegną zmarznięciu i zaszkodzą zwierzynie. Dziki bowiem nie są na to wrażliwe, i bez szkody dla zdrowia, spożywają przemarzniętą karmę.

# Z OGRODÓW ZOOLOGICZNYCH.

W Europie istnieje 32 ogrodów zoologicznych, w tej liczbie 25 przypada na same Niemcy.

Drugie miejsce zajmuje Polska. To samo Holandja. Oba bowiem te kraje mają po dwa ogrody zoologiczne, podczas kiedy reszta państw europejskich ma po jednym.

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy na czele ogrodów stali przedsiębiorcy, dziś wszędzie na stanowiskach są ludzie nauki.

Ogrody zoologiczne utraciły swój widowiskowo-menażeryjny charakter i dziś stały się ośrodkiem wychowawczym o znaczeniu bardzo poważnem.

Fakt przejęcia kierownictwa ogrodów przez profesorów i ludzi z wyższem, uniwersyteckiem przygotowaniem, daje już teraz nadspodziewane rezultaty.

W Berlinie np. po raz pierwszy w dziejach ogrodów zoologicznych, urodził się orangutang, co jest niebywałą atrakcją.

Ogród warszawski jest w stanie organizacji. Liczy niespełna trzy lata, mimo to, w tak krótkim stosunkowo czasie mamy w przychówku 7 lwiąt, małpę i niedźwiedzia. Nadto przez cały rok w naszym ogrodzie utrzymał się głuszec, podczas kiedy — jak dotąd — w innych krajach nawet trzy tygodnie ptak ten nie wyżył w niewoli.

Żubrów w ogrodach zoologicznych na całym świecie jest 53. Najwięcej jest w Anglji, która posiada 19 sztuk, dalej idą Niemcy z 18 swymi żubrami, trzecie miejsce przypada Polsce, która ma 13 sztuk.

Wyniki doświadczeń wykazują, że nie jest wykluczone, iż ród żubrów skazany jest na wymarcie. Narazie nie znaleziono takich warunków, w których żubry mogłyby normalnie rozmnażać się.

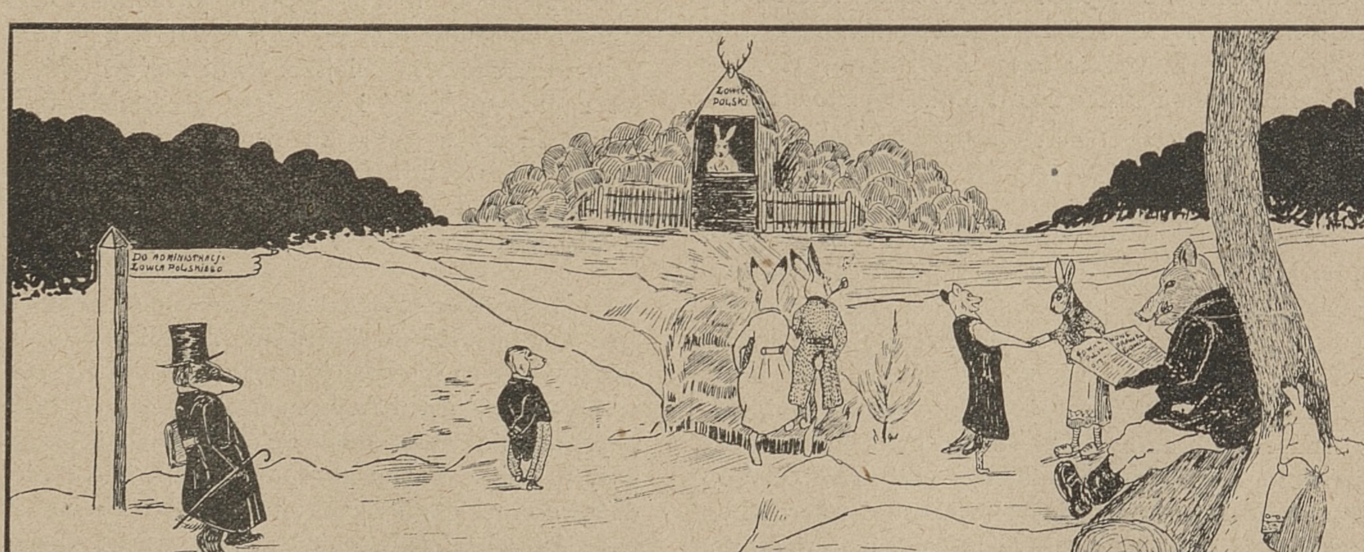
Polski eksperyment stworzenia rezerwatów w puszczy białowieskiej budzi pewne powątpiewania, co jednak jest przedwczesne.

Cena żubra dziś jest ustalona na 100.000 zł. Obecnie Holandja poszukuje żubra-buhaja, Austrja naodwrót żubra-krowy.

Do zarządu międzynarodowego towarzystwa ogrodów zoologicznych wszedł przedstawiciel Polski, rektor Grochmalicki z Poznania, pozatem Polska zapewne otrzyma jeszcze jedno miejsce w zarządzie.

„Raboczaja Moskwa" donosi o gromadnem wymieraniu zwierząt w moskiewskim ogrodzie zoologicznym. Znaczna część zwierząt zginęła wskutek braku odpowiedniego pokarmu, oraz chłodów panujących w pomieszczeniach ogrodu. Wskutek braku fachowego dozoru oraz potrzebnych środków, ogród zoologiczny w Moskwie znajduje się obecnie w stanie całkowitego upadku. „Raboczaja Moskwa" przewiduje, iż ogród zooolgiczny będzie wkrótce zniesiony.

Co rok odbywają się w różnych miastach japońskich, posiadających ogrody zoologiczne, nabożeństwa za „dusze" zdechłych w ciągu roku zwierząt w tych ogrodach. Nabożeństwa te urządza Związek buddyjski z udziałem bonzów i młodzieży szkolnej.



# Kronika myśliwska.

— B. J. — W dniu 6.9.30 odbyło się polowanie na kuropatwy w gościnnych domach pp.: Janostwa Jachowskich w Dylowie i pana Wacława Jachowskiego w Wodzicznej; w niecałe pół dnia i w 8 strzelb zabito 110 kuropatw. Królem polowania był p. Bolesław Jakubowski, mając 26 kuropatw. Zajęcy i kuropatw widziano b. dużo.

— P. — W majątku Mokrsko pod Wieluniem p. A. Jakowickiej odbyło się dn. 17 i 18 września polowanie na kuropatwy. Ubito 311 sztuk w 6 strzelb. Królem polowania był p. pułk. Bystram z Tarnowskich Gór. Dnia 25 i 26 września ubito 190 kuropatw i 2 króliki — w 3 i 4 strzelby. Razem 503 szt. Zauważono również dużą ilość zajęcy, dzięki więc umiejętnej opiece właścicielki, stan zwierzyny w każdym roku powiększa się.

— T. S. — U pp. Tadeuszostwa Halpertów odbyły się następujące trzy polowania na kuropatwy:

Dnia 6 września 1930 r. na Starzynach w 7 strzelb zabito pędzonych kuropatw 220 sztuk. Udział wzięli pp. minister Arnstedt, Atta Afifi Bey, hr. Leon Komorowski, br. L. Kronenberg, hr. S. Potocki, hr. A. Sobański i gospodarz.

Dnia 25 września na Szczekocinach w 5 strzelb zabito pędzonych kuropatw 209, bażantów 8, królików 5, razem 222 sztuki. Udział wzięli pp. hr. Zygmuntowa Wielopolska, hr. Henryk Potocki, hr. Władysław Potocki, hr. B. W. Tyszkiewicz, hr. Z. Wielopolski.

Dnia 26 września 1930 r. na Szczekocinach w 9 strzelb zabito pędzonych kuropatw w zagajnikach 790, 1 bażanta (omyłkowo — jest ich b. dużo), królików 70, kaczek 2, bekasów 3. Razem 866 sztuk. Udział wzięli: pp. pułkownik W. Morawski, p. Poklewski - Koziełł, hr. Paweł Potocki, hr. Roman Potocki, p. Tadeusz Siemieński, hr. Aleksander Skrzyński, hr. B. W. Tyszkiewicz, hr. Z. Wielopolski, ordynat hr. Zamoyski.

Kuropatw b. dużo. Polowanie prowadzone pierwszorzędnie przez miejscowego leśniczego. Strzelanie b. miłe w zagajnikach, bo dość trudne.

— L. — Dnia 17 i 18 października odbyło się polowanie w Chełmie u pana Zbigniewa Wielowiejskiego na kuropatwy tylko pędzone, na którem w 6 trzelb zabito kuropatw 633, 8 cietrzewi, 1 królika, 1 lisa, razem sztuk 643. Polowali panowie Tadeusz Siemieński (183 sztuki), Adam Wielowiejski, Wojciech Michalski, Marjan Lasocki, Andrzej Deskur, Roman Łuszczewski.

—S.— Dnia 18 z. m. odbyło się doroczne polowanie na króliki w Silnicy Wielkiej p. Hieronima Siemieńskiego. W 9 strzelb w 26 miotach ubito rekordową ilość 1500 szt., w tem 1400 królików, 81 kuropatw, 17 bażantów i 2 różne. W polowaniu brali udział: p. Władysław Garapich, p. Tedeusz Halpert, hr. Andrzej Morstin, hr. Paweł Potocki, hr. Władysław Potocki, p. Konrad Niemojewski, hr. Stanisław Potocki, p. Grzegorz Lipczyński, Hieronim ks. Lubomirski. Najwięcej na rozkładzie, a mianowicie po 211 sztuk mieli hr. Andrzej Morstin i hr. Paweł Potocki.

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— **Obchód św. Huberta.** — Staraniem DOK. II i Sekcji Dochodów Niestałych Kom. Budowy Domu Żołnierza odbędzie się — jak donosi „Ziem. Lub." — w Lublinie tradycyjnym zwyczajem lat ubiegłych, wielka zabawa sportowo-towarzyska w dniu 4 listopada r. b. z okazji św. Huberta, na którą złożą się: bieg myśliwski, kawalkada jeźdźców, śniedanie myśliwskie u mety biegu w lesie Dębówka, wieczorem zaś tego dnia bal w salonach pałacu Radziwiłłowskiego. Obchód ten wzbudził ogólne zainteresowanie w szerokich sferach społecznych. Do Lublina przybędą liczne delegacje pułków kawalerji OK. II, wraz z rodzinami, ziemianie okoliczni oraz goście z Warszawy, (m. in. „Miss-Polonja", p. Batycka). Dla zwycięzców w biegu przygotowane są gustowne i piękne nagrody. Dochód przeznaczony jest na budowę Domu Żołnierza w Lublinie.

— **Czasy ochronne.** — „Słowo Zamojskie" w notatce p. t. „Myślistwo i rybactwo" podaje, że „1 października rozpoczyna się polowanie na zające" i że w październiku wolno polować na kozły. Jest to sprzeczne z rozporządzeniem wydrukowanem w „Lub. Dz. Woj." (Nr. 2 z dn. 10.I.30) w rozporządzeniu z dn. 31.12.29 L. 6841/R.W.". Tabelka drukowana od czasu do czasu w „Łowcu Polskim", wskazuje również, że w województwie lubelskiem nie wolno było polować w październiku na zające i kozły.

— **Obserwowanie zwierzyny.** — Ciekawe jest, czy sprawdzą się prognostyki wczesnej zimy obserwowane w naturze. Otóż w pierwszych dniach października widziałem sarny zupełnie już siwe, w pelnej, zimowej szacie, również dziwnie wcześnie leciały na południe dzikie gęsi, w początku września. Odloty bocianów, gołębi, szpaków i t. d., również były wyraźnie wcześniejsze. Sójki i wiewiórki zimowe zapasy gorliwiej i wcześniej gromadzić zaczęły, a borsuki już w początku września nory i gniazda czyściły. Wszystkie te zabiegi były robione wyraźnie wcześniej niż lat ubiegłych, co rzeczywiście wróżyłoby wczesną, a może nawet ciężką zimę. — **B. J.**

— **Z powiatu Koneckiego.** — Stan zwierzostanów w powiecie poprawił się znacznie. Jelenie ryczały w trzech łowiskach, czego nie było od wielkiej wojny; po dwuch latach suchych stan sarn i zajęcy poprawił się widocznie, lęgi cietrzewi i bażantów były b. dobre, a stan kuropatw jest świetny; piękne, duże, wyrośnięte i liczne stada widzi się nawet na najsłabszych, pozbawionych opieki, włościańskich terenach. Energiczna walka z wnykarstwem i kłusownictwem w tych warunkach dałaby już poważne

rezultaty nietylko z łowieckiego punktu widzenia. — **B. J.**

— **Nieposzanowanie prawa łowieckiego.** — Pod takim tytułem pisze „Ziemia Lubelska":

Gdy tylko przestały padać deszcze i zawitała do nas ładna pogoda, tu i owdzie zaczęły się odbywać październikowe polowania na zające, wbrew zakazom ustalonym w celach ochronnych w rozporządzeniu wojewody lubelskiego, tak, że nawet od czasu do czasu można już spotkać bite zające w sprzedaży.

Nad faktem tym nie można przejść do porządku dziennego nietylko z punktu widzenia nieposzanowania obowiązującego prawa, lecz należy zastanowić się nad demoralizacją wśród polujących na wsi, włościan, którzy li tylko ze względu na zysk osobisty, przyczyniają się do marnowania bogactwa naturalnego w Państwie.

Nieposzanowanie prawa w dziedzinie łowiectwa jest objawem choroby, który przechodzi łowiectwo po wojnie światowej, i zwyrodnieniem, że tak powiem, obyczajności wśród polujących, zwłaszcza wśród tych, którzy od niedawna dopiero stali się nemrodami, a polują li tylko dla korzyści materjalnych, nie przebierając w środkach, które pozwolą je osiągnąć.

Z tym objawem spaczonych pojęć wśród polujących i z nieposzanowaniem prawa winien podjąc jaknajostrzejszą walkę nietylko ogół zdrowo myślących obywateli myśliwych, lecz wszyscy obywatele, którym interes gospodarki państwowej nie jest obojętny.

### Z POWIATU STOLIŃSKIEGO.

W powiecie Stolińskim województwa Poleskiego stan głuszców i cietrzewi po tegorocznych lęgach jest bardzo dobry.

Kaczek z powodu posuchy prawie nie było.

Stan dzików dobry.

Łosi znajduje się w ordynacji Dawidgródeckiej Karola ks. Radziwiłła starych około 70 sztuk, młodych tegorocznych 27 sztuk. Łoszy, które w tym roku się odchowały, liczymy od 20 do 23 sztuk. Stan łosi z każdym rokiem się normalnie powiększa. Łosze trzymają się swoich ostoi.

KAROL RADZIWIŁŁ,
Delegat Polsk. Zw. Stow. Łow.
na pow. Stoliński.

## Wiadomości zagraniczne.

— **Polowanie na kozły** w Prusach według nowego rozporządzenia zostało zamknięte z dniem 31 października.

— **Czasy ochronne we Włoszech.**—Rzymska „Gazetta Uficiale" ogłosiła, że sezon myśliwski rozpoczął się dn. 15 sierpnia. Polowanie na przepiórki może być zabronione i po tym terminie przez władze lokalne. Polowanie na kuropatwy i zające w Sardynji kończy się dn. 1 listopada, na kozice — 30 listopada, na jelenie, daniele, dziki i borsuki rozpoczyna się dn. 1 listopada i kończy się dn. 31 stycznia. Do d. 14 sierpnia 1931 roku zabronione jest polowanie na sarny w polu, oraz polowanie i łowienie bażantów. W Sardynji nadal nie wolno polować na jelenie i daniele. Zakaz polowania na kozice obejmuje obwód alpejski między Monte Rosa, Lago Maggiore i pogranicze szwajcarskie.

— **Wilki na Litwie.** — „D. Jaegerz." (41) podaje, że na Litwie wilki wyrządzają ogromne szkody w bydle włościańskiem. W przeciągu ubiegłych 14 miesięcy w powiecie „Ukmerge" (Wiłkomierz) padły ofiarą wilków: 12 ogierów, 38 kobył, 4 krowy, 3 cielęta, 387 baranów, 266 psów, 21 świń i 66 sztuk drobiu. Straty wynoszą 26.000 litów. Sumę tę należy podwoić, dodając straty w zwierzynie. Obliczają, że w tym powiecie przebywało na wiosnę około 100 wilków, a obecnie z przychówkiem będzie ich około 200. Bezśnieżna zima ubiegła utrudniała tępienie ich. W przeciągu 14 miesięcy ubito ich zaledwie 14 sztuk. Wilki przedostają się stamtąd do obwodu Kłajpedy i Prus Wschodnich.

— **Fotografowanie okapi.** — Przyrodnik angielski, zmarły niedawno Ray Lankester, stwierdził istnienie zwierzęcia zupełnie jeszcze nieznanego, które nazwał „Okapia Johnstoni" i zawiadomił o niem świat naukowy na międzynarodowym kongresie w Berlinie w 1901 r. Zwierzę to, będące krewniakiem żyrafy, a żyjące w najniedostępniejszych ostępach puszczy środkowo-afrykańskiej, należy do najpłochliwszych i najtrudniejszych do podejścia. Nie dziw zatem, że w przeciągu tych dwudziestu dziewięciu lat, które upłynęły od czasu odkrycia okapi, zdołano zdobyć zaledwie kilkanaście egzemplarzy jego, a w tej liczbie tylko dwa żywe. Władze Konga belgijskiego, do którego należy puszcza nad rzeką Ituri, zabroniły zupełnie polowania na nie. Prawdziwy więc tryumf odniósł niedawno mieszkający w Ugandzie myśliwy belgijski, C. P. Bezuidenhout, zdoławszy sfotografować to czujne i bojaźliwe zwierzę na wolności, w jego środowisku nad rzeką Ituri. Myśliwemu belgijskiemu powiodło się dokonać tego trudnego zadania po długich usiłowaniach. Zdobyte w tak niezwykły sposób fotografie okapi przywiózł p. Bezuidenhout — jak donosi londyński „Times" — do Nairobi.

## Strzelnictwo.

— **Zawody myśliwskie.** — Dnia 11 i 12 października odbyły się w Równem na Wołyniu wojskowe i myśliwskie zawody strzelnicze, do których stanęło 64 zawodników. W poszczególnych konkurencjach osiągnięto następujące wyniki:

1. w strzeleniu z kb. na 200 m. — I m. por. Kotowski 83 p., II m. mjr. Jaroszewicz 82 p.
2. w strzelaniu z kb. na 300 m. — I m. kpt. Żebrowski 143 p., II m. ppłk. Prugar-Ketling 141 p.
3. w strzelaniu z broni małokalibr. na 50 m. — I m. kpt. Żebrowski 93 p., II m. por. Koblański 92 p.
4. w strzelaniu do zająca kulą na 50 m. — I m. ppłk. Prugar-Ketling 4 p., II m. por. Smoliński 3 p.
5. w strzelaniu do dzika kulą na 50 m. — I m. por. Staniszewski 15 p., II m. ppłk. Prugar-Ketling 10 p.
6. w strzelaniu do jelenia na 100 m. — I m. ppłk. Prugar-Ketling 12 p., II m. p. Załęski 10 p.
7. w strzelaniu do rzutków — I m. p. Mikulicz 18 na 20, II m. kpt. Nowakowski 17 na 20.

Zawody wzbudziły duże zainteresowanie. Wyniki naogół słabe z powodu bardzo silnego wiatru i złego oświetlenia.

Kierownik zawodów Prugar-Ketling ppłk. dypl. Dowódca 45 pp. strz. kres.

## Bibljografja Łowiecka.

**Łowiec** Nr. 19 zawiera: Władysław Czerniejewski (z teki pośmiertnej) Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885 — 1917 (c. d. n.). — Frantz Munch Rozenberg: Łowy na grubego zwierza (c. d.). — St. Barabasz: Czeladź św. Huberta (feljeton c. d.). — Jarosław Hubałek: Wierny przyjaciel (c. d.).—Mozajka dzicza, Adam Bielski: „Wujko".— Ś. p. Ludwik Aleksander Rayski (nekrolog). — Narodowe zawody strzeleckie we Lwowie. — Komunikat. — Odznaczeni za zasługi na polu kultury łowieckiej.

**Łowiec** Nr. 20 zawiera: S.: Sprawozdanie z obrad Walnego Zgromadzenia M. T. Ł., odbytego w dniu 3 września 1930 r. Dr. Władysław Burzyński: W obronie jelenia w Karpatach I. — Antoni Biberstein-Błoński: W obronie jelenia w Karpatach II. — St. Barabasz: Czeladź św. Huberta (feljeton dok). — Jarosław Hubałek: Wierny przyjaciel (c. d.). Frantz Munch Rozenberg: Łowy na grubego zwierza (c. d.). — Aleksander Ruchaj: Ś. p. Józef Rajmund Schmidt (nekrolog). — Kącik językowy.



## Wiadomości handlowe.

— **Związek hod. zwierząt futerkowych.** — Na zebraniu zarządu tego Związku omówiono sprawę licencji zwierząt futerkowych, będących w posiadaniu członków związku. Uchwalono przeprowadzić licencję w okresie od 15 listopada do 30 listopada r. b. W związku z powyższem ustalono metodykę licencjonowania zwierząt w myśl przepisów Unji Związków Hodowców Zwierząt Futerkowych oraz polecono prezydjum Związku wydanie w druku odpowiednich ksiąg i formularzy dla prowadzenia rodowodów licencjonowanych zwierząt, kart licencyjnych, meldunków miotów i t. p. Ponadto omówiono sprawę opieki sanitarno - weterynaryjnej na fermach członków Związku.

— **Koszta hodowli lisów.** — P. Artur Rajcher oblicza w organie zrzeszenia „Hodowli zwierząt futerkowych" koszty hodowli lisów w ten sposób:

Koszta wyprodukowania 1 pary lisów:

| | |
|---|---|
| a) obsługa fachowa | 4.400 zł. |
| b) żywienie | 600 „ |
| c) nieprzewidziane | 590 „ |
| d) premja dla kierownika | 600 „ |
| Razem | 6.190 zł. |

Wyprodukowany towar posiada wartość 5.000 zł. (4.500 + 500), czyli hodowla dałaby stratę na 1.190 zł. Do tego należałoby jeszcze doliczyć amortyzację, która głównie polegałaby w tym wypadku na zużycie drogiego materjału rozpłodowego, który po kilku latach trzebaby było sprzedać na skórki; pozatem nalażałoby wprowadzić ubezpieczanie zwierząt, jeżeli się operuje drogim materjałem. A więc hodowla 1 pary, czy nawet kilku par zwierząt, stanowczo nie wytrzymuje kalkulacji (o ile nie sam właściciel kieruje hodowlą i sam w niej nie pracuje), dopiero przy większej hodowli koszty administracyjne są mniejsze, co już czyni hodowlę rentowną. Należałoby pozatem w najbliższej przyszłości stworzyć asekurację zwierząt, aby uczynić imprezę mniej ryzykowną.

— **Ceny dziczyzny.** — W połowie października, podług oficjalnych notowań w Berlinie dowóz zwierzyny był skąpy przy dużym popycie. Zanotowano: za kilo jeleniny najlepszego gatunku 1,30 m., gorszego — 0,90; sarniny I gat. — 2,50, gorsz. — 2,20; dzika I gat. — 1,40, gorsz. — 0,80. Za jedną kuropatwę młodą I gat. — 1,50, II gat. — 1,00 do 1,20, starą — 1,20; bażanta-koguta młodego I gat. — 2,75 do 3,00, II g. — 2,00 do 2,25, III g. — 1,50 do 1,75; starego — 2,50 do 2,75; kurę I g. — 2,00, II — 1,50 do 1,75. Za zająca dużego — 5,25 do 5,60, średniego — 3,00 do 3,50, małego — 2,00 do 2,50.

W Wiedniu: w hurcie za kilo jelenia ze skórą — 120 do 170 groszy austrjackich, sarny — 240 do 260. W detalu za kilo najlepszej części jeleniny — 600 do 750, najgorsz. — 280 do 360; sarny najl. — 450 do 650, gorsz. — 260 do 360. Kuropatwa młoda — 150 do 300, stara — 100 do 130; bażant — 310 do 600; zając najlep. — 600 do 900, najg. — 100 do 200.

Firma B-cia Pakulscy w Warszawie podaje ceny zwierzyny: Kuropatwy w płaceniu zł. 2.80 za parę, bażanty-koguty 4.— do 4.50 za sztukę, kury 3.— do 3.50 za sztukę, kozły od 1.50 do 2.— za kg.

— **Ceny skórek.** — W Berlinie zanotowano w połowie października: skórka lisa — 20 do 35 m., lisa górskiego — 30, kuny leśnej — 60 do 80 m.; kamionki — 45 do 60, tchórza — 10 do 16, łasicy — 0,50, gronostaja — 3,00 , wydry — 40 do 60, borsuka — 1 do 2.

W Lipsku notowano: lis — 21 do 35, górski — 40, kuna kamionka — 45 do 60, leśna — 60 do 80, tchórz — 8 do 15, borsuk — 9, wydra — 40 do 60, gronostaj — 3, łasica — 0,45. Sarna letnia (pół kilo) — 2,90, zimowa — 1,40, zając zimowy — 1,00, wiewiórka 0,25, dziki królik zimowy — 0,20.

— **Ceny karmy.** — Brandeburski Związek Łowiecki ogłosił, że dostarcza swym członkom karmy dla zwierzyny na nadchodzącą zimę, zalecając szczególnie żołędzie i kasztany. Cena żołędzi wynosi 4,75 m. za centnar, kasztanów — 3,50.

**„Z północy wieją mroźne wiatry**

i słonko już nie grzeje", — oto jak określa piosenka początek jesieni i zimy, pór roku szczególnie dla zdrowia niebezpiecznych. Zmiany ciepłoty od gorąca do chłodu następują przeważnie tak nagle i niespodziewanie, że często okazuje się poprostu niemożliwem ubrać się odpowiednio do pogody. Zimny, ulewny deszcz może zaskoczyć nas nagle, gdy jesteśmy w lekkiem ubraniu, i jakże łatwo się wówczas przeziębiamy! Kto w tych warunkach nie zażyje natychmiast oryginalnej tabletki Aspirin, którą można nabyć w każdej aptece, i nie przebierze się w ciepłe okrycie — naraża się na chorobę jeszcze poważniejszą. Z tego względu już przy pierwszych oznakach zaziębienia, jak również przy bólach głowy i zębów, należy zawsze pamiętać o niezawodnych, wypróbowanych, oryginalnych tabletkach Aspirin (z napisem Bayer na każdem opakowaniu i na każdej tabletce).

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— **Wynagrodzenie szkód.** — Czy jesteśmy zobowiązani, jako właściciele i dzierżawcy obwodów łowieckich, wynagradzać szkody wyrządzone w uprawach i plonach rolnych przez **zające, króliki, bażanty i kuropatwy?** (artykuł 55 Ustawy Łow. mówi bowiem tylko o wynagradzaniu szkód wyrządzonych przez **dziki, jelenie, daniele i sarny).**

Zapytanie obejmuje też szkody wyrządzone li tylko przez bażanty wyhodowane sztuczne w bażantarni. — **Thon.**

**Odp.** W obydwu wypadkach — oczywiście nie. Wypływa to wyraźnie z zacytowanego wyżej art. 55 prawa łowieckiego. — **W. W. G.**

## FUNDUSZ IM. Ś. P. J. EJSMONDA.

Dla zapoczątkowania funduszu im. ś. p. Juljana Ejsmonda, przeznaczonego na niesienie pomocy wdowom i sierotom po poległych w walce z kłusownikami strażników łowieckich, złożyły:

Augustowskie Kółko Łowieckie w Augustowie 50 zł.

Anińskie Towarzystwo Myśliwskie w Aninie 50 zł.

Dalsze ofiary na cel powyższy przyjmuje administracja „Łowca Polskiego".

**PRENUMERATA:** Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.
**CENY OGŁOSZEŃ:** Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr., najmniejsze — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.



Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

### Nowy ptak.

— Nauczyciel: Kto to był Kolumb?
— Uczeń: Kolumb to jest ptak.
— Nauczyciel: Co ty wygadujesz?
— Uczeń: Słyszałem przecie, jak ojciec mówił o „jajku Kolumba".



J. Wielmożny Pan Olgierd Gordziałkowski w Łęgu.
Za sprzedanego mi wyżła „Floksa", za którego zapłaciłem 1350 zł., serdecznie dziękuję, gdyż jest bardzo miły, doskonały w polu i świetnie wytresowany. Inż. Henryk Sosonko. Warszawa, Frascati 2.

**PSIARNIA W ŁĘGU** pow. Śrem Poznańskie ma na sprzedaż doskonałą roczną pointerkę ułożoną i bardzo ładne, młode, kilkomiesięczne pointry po nagrodzonych rodzicach i importowanych dziadkach. Również jest do sprzedania, „Niemiec" krótkowłosy **niedrogo**, 1½ roczny, świetny aporter najlepszy na kaczki, w suchem polu obecnie jeszcze za ostry.



### Miljoner na polowaniu.

Wątpię, jaśnie panie, czy polowanie będzie udatne. W tych okolicach zupełnie niema zwierzyny.
— To bagatela, byleby nie zabrakło obławników.



# OGŁOSZENIE

Polskie Przedsiębiorstwo Ochrony Łowiectwa św. „Huberta" **Herby Śląskie** koło Lublińca (dawniej w Rzędówce) podaje do wiadomości, że po przerwie swojej czynności celem organizowania hodowli zwierzyny w kraju, powróciło do dalszej czynności z siedzibą w **Herbach Śląskich** z uzupełnionym programem czynności.

**Poleca się:** jako organ przyjmowania gospodarstw leśnych-łowieckich pod inspekcję Przedsiębiorstwa, gdzie brak fachowo wykwalifikowanego personelu na kierowniczych stanowiskach.

**Przyjmuje się:** gospodarstwa leśne i łowieckie pod inspekcję za minimalne wynagrodzenie rocznie złotych 200 — z dodatkiem zwrot — mały procent — kosztów objazdowych.

**Zakres działania inspekcji jest:** sporządzenia planu cięć, nowe zalesienie, szkółki, urządzenia, hodowla zwierzyny, zaprowadzenie hodowli bażantów według najnowszych systemów, dostarczanie odpowiedniego służbowego personelu wykonawczego leśno-łowieckiego, celem prowadzenia racjonalnej gospodarki hodowlanej i ochronnej.

**Rekomendacje:** fachowo wykwalifikowanego personelu do służby leśnej-łowieckiej.

**Wykonuje: porady i pośrednictwa w dostawie żywej zwierzyny** dla odświeżenia krwi, — które wykonuje się pod kontrolą Przedsiębiorstwa na miejscu u dostawcy, celem osiągnięcia odpowiednich reproduktorów.

**Dostarcza:** treściwej karmy „Carofarin" dla bażantów i psów. „Kornitol" dla uniknięcia dziczych szkód.

**Zaprowadzono:** przy Przedsiębiorstwie Ochrony Łowiectwa spl. zakład krawiecki, celem dostarczania dla służby dworskiej leśno-łowieckiej mundurów, również materjału na mundury według przepisów umundurowania służby leśnej i życzeń administracji dworskiej. Kierującym zakładu jest pan Swoboda, dostawca dworski księcia Donnersmarka i innych na Górnym Śląsku, mundurów i t. p. dla służby leśnej.

**Referencje:** powołuje się na otrzymane pochwalne — zadawalniające pisma od:

JWPana Juljusza hrabiego Bielskiego
„ ord. Cyryla hrabiego Czarkowskiego-Golejewskiego
„ Zdzisława Gryf-Czajkowskiego
„ Jana Szarlowskiego
„ Wenantego Litguskiego i wielu innych właścicieli dóbr.

Uprasza się o łaskawe zgłoszenia, na życzenie udziela się szczegółowych informacji. *Alojzy Nimptszke.*

# Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu Liége

## Fabryka broni założona w 1866 r.

Fabryka otrzymała najwyższe odznaczenia na wszystkich wystawach, w których brała udział:

Paryż 1867
Amsterdam 1869
Moskwa 1872
Gwatemala 1897
Petersburg 1897
Moskwa 1899
Warszawa 1899
Liége 1905

Paryż 1900:
„Grand Prix" i Medal Złoty

Petersburg 1902:
„Grande Médaille"

St. Louis 1904:
„Grand Prix"

Medjolan 1906:
„Grand Prix"

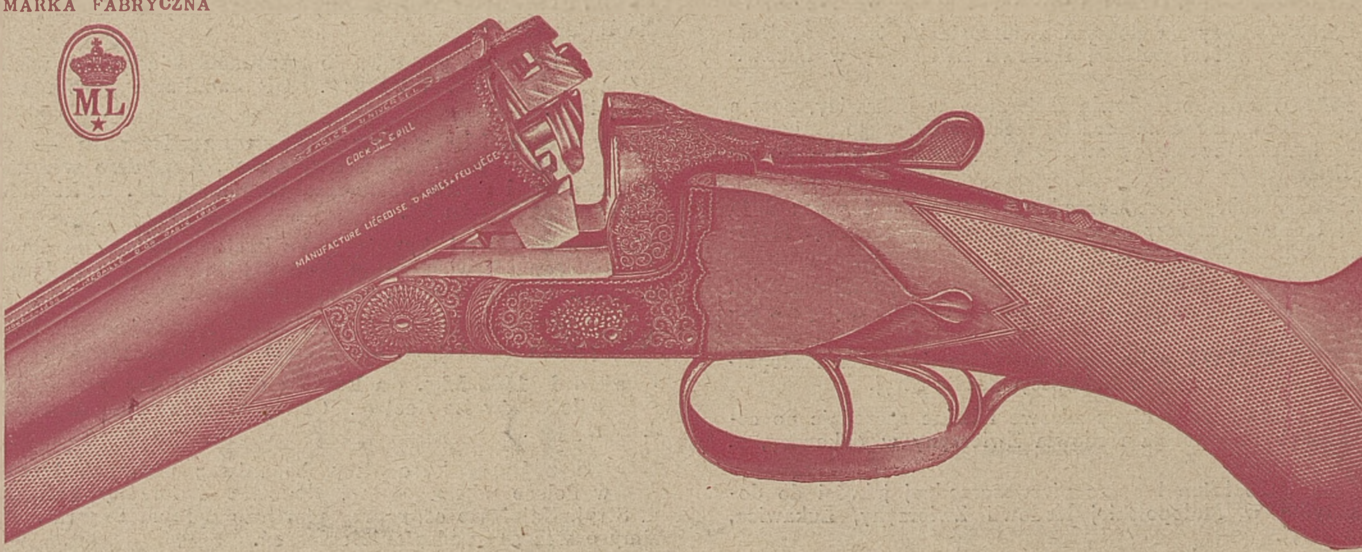
Bruksella 1910:
„Hors Concours" i „Membre du Jury"

Turyn 1911:
„Grand Prix"

Rio de Janeiro 1922:
„Grand Prix"

MARKA FABRYCZNA

ML




**Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu** zajmuje się wyrobem wszelkich gatunków broni myśliwskiej do najwykwintniejszych. Wyposażenie fabryki w najlepsze urządzenia mechaniczne, wieloletnie doświadczenie i ciągła praca nad postępem metod fabrykacji, zapewniły fabryce przodujące stanowisko w przemyśle puszkarskim.

**Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu** specjalnej uwadze PP. Myśliwych poleca swoje wykwintne bronie z lufami ze stali **Acier Universel COCKERILL**, których posiada wyłączność fabrykacji i sprzedaży.

**Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu** podaje rezultaty prób dokonanych z lufami ze stali „ACIER UNIVERSEL COCKERILL" dnia 22 lutego 1930 r. na Stacji Doświadczalnej Broni w Liége w obecności Komisarza Rządowego dokonywującego najwyższy dozór nad wyrobem broni w Belgji p. J. Fraikina:

1) Przy próbach na wytrzymałość luf ze stali strzelając **Acier Universel COCKERILL**, ładunkiem 2,9 gr., prochu bezdymnego i 50 gr. śrutu, co przekracza dozy, jakie wytrzymać mogą bez nadwyrężeń normalne lufy myśliwskie, aparaty Stacji Doświadczalnej zanotowały ciśnienie 2000 klg. na kw. cm.

2) Przy próbach na wytrzymałość luf ze stali **Acier Universel COCKERILL**, strzelając ładunkiem 3 gr. prochu bezdymnego i 50 gr. śrutu, ciśnienie tak wysokie, że nie mogło być dokładnie określone. Niemniej, na 4 lufy, poddane takiemu przekraczającemu zwykłe możliwości, strzelaniu, trzy lufy pozostały bez wszelkich uszkodzeń. Dalsze strzelanie nie było kontynuowane ze względu na niebezpieczeństwo uszkodzeń aparatury Stacji Doświadczalnej.

**KONKLUZJA: BRONIE MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Z LUFAMI ZE STALI ACIER UNIVERSEL COCKERILL DAJĄ PP. MYŚLIWYM MAKSIMUM GWARANCJI.**

REPREZENTACJA FABRYKI MANUFACTURE LIEGEOISE D'ARMES A FEU

## ROBERT ZIEGLER

SKŁAD BRONI I AMUNICJI

WARSZAWA, UL. TRĘBACKA 10

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.